

BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH.

№ 179.

Cinq = Mars

ALBO

SPRZYSIĘŻENIE ZA LUDWIKA XIII

Hrabiego ALFREDA de VIGNY

PRZEŁOŻYŁ WITOLD ŁASZCZYŃSKI.

—
TOM II.
—

Cena 40 kop.
W pren. 30½ kop.

WARSZAWA.

Redakcyja i Administracyja

47. Nowy-Swiat 47.

—
1901.

CINQ - MARS

albo

SPRZYSIĘŻENIE ZA LUDWIKĄ XIII.

Hrabia ALFRED de VIGNY.

Członek Akademii Francuskiej.

CINQ-MARS

albo

SPRZYSIĘZENIE ZA LUDWIKA XIII

Król był, milcząc, głową tego spisku. Wielki koniuszy Cinq-Mars był jego duszą; użyto do niego imienia księcia Orleańskiego, jedynego brata króla, a radcą był książę de Bouillon. Królowa wiedziała o zamachu i o imionach spiskowców...

Pamiętniki Anny Austryackiej
przez Panią de Motteville.

Kogoż więc tu oszukują?

PRZEŁOŻYŁ

Witold Łaszczyński.

Tom II.

WARSZAWA.

DRUKARNIA

A. T. Jezierskiego

47. Nowy-Świat 47.

Wyp. 02

Дозволено Цензурою.
Варшава, 3 Апрѣля 1901 г.



66728/2

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA
im. Jerzego Giedroycia w Białymstoku



FUW0255702

K-168/70/66729

ROZDZIAŁ XI.

POMYŁKI.

Gdy przyszła kolej na świętego Wila,
Wyrzucił na stół z dłoni swej trzy kości,
I spoglądając na dyabła co chwila,
Wyrzekł do niego pełen złośliwości:
O tę więc babę rozpocznijmy granie!
Komu z nas dwóch się dusza jej dostanie!

Podania starodawne.

Aby stanąć przed królem, Cinq-Mars musiał wsiąść na konia jednego z ranionych w potyczce szwoleżerów, gdyż utracił swego u stóp szańca. Podczas wyjścia dwóch kompanii, co potrwało dosyć długo, uczuł, że ktoś uderzył go po ramieniu, odwróciwszy się zaś ujrzał starego Grandchamp, trzymającego ręką wierzchowca szpakowatego, rzadkiej piękności.

— Czy imépan margrabia zechce dosiąść konia, który należy do niego? — rzekł. — Wsadziłem nań siodło i czaprak aksamitny, złotem haftowany, a pozostawiony w rowie. Niestety! mój Boże! gdy pomy-

ślę, że jakiś Hiszpan mógłby go bardzo łatwo zabrać, lub nawet jakiś Francuz; bo w dzisiejszych czasach tylu ludzi bierze co znajdzie, jakby swoją własność; a zresztą, jak mówi przysłowie: „Co wpadnie w rów, to dla żołnierza”. Mogliby także zabrać, jak przypuszczam, te czterysta talarów w złocie, które impan margrabia, nie wymawiając, pozostawił w olstrach swoich pistoletów. A pistolety, jakie pistolety! kupiłem je nigdyś w Niemczech, ale są jeszcze tak dobre i ze spustem tak doskonałym, jak wówczas. Czy nie dosyć, że padł biedny karus, który się urodził w Anglii, co jest tak samo prawdą, jak to, że ja przyszedłem na świat w Tours, w Turenii; trzebaż jeszcze było wystawiać przedmioty tak kosztowne na łup dla nieprzyjaciela?

Wywodząc ze skargi, dzielny człowiek kończył siodłać siwka; kolumna przeciągała długo i nie potrzebował się śpieszyć, zwrócił tedy baczną uwagę na długość popręgów i na języczki każdej sprzączki u siodła, dając sobie przez to czas do dalszej rozmowy.

— Niech mi wasza cześć wybaczy, jeśli marudzę, gdyż oto przygniotłem sobie trochę ramię, podnosząc imcipana de Thou, który sam podniósł imcipana margrabiego podczas wielkiego kozła.

— Co! i ty tam byłeś, stary waryacie! — zawołał Cinq-Mars — to nie twoje rzemiosło; powiedziałem ci, abyś został w obozie.

— Oh! co się tyczy zostania w obozie, to rzecz inna, nie umiem tam zostać, i gdy wystrzela z muszkietu, zachorowałbym, gdybym nie zobaczył jego ognia. A moje rzemiosło, to właśnie mieć staranie o wasze konie, na których jeździe, mospanie. Czy myślicie, że gdybym mógł, tobym nie ocalił tego biednego karusia, co tam jest w rowie? Ah! jakże go lubiłem, mospanie! koń ten zdobył trzy nagrody wy-

ścigowe w swoim życiu! Gdy o nich myślę, widzę, że to życie było za krótkie dla tych wszystkich, którzy umieli kochać go jak ja. Jadł owies tylko z ręki swojego Grandchamp, i gaskał mnie wtedy swoim łbem, czego dowodem ten koniec lewego ucha, który mi urwał jednego dnia, ten biedny przyjaciel; ale nie chciał bynajmniej zrobić mi krzywdy, przeciwnie. Trzeba było widzieć, jak rżał z gniewu, gdy kto inny do niego się zbliżał; złamał Janowi nogę z tego powodu, ten dobry karus; tak go lubiłem! Więc też gdy padł, wsparłem go jedną ręką, imcipana de Locmaria drugą. Myślałem naprzód, że on i ten jegomość się podniosą, ale na nieszczęście, tylko jeden wrócił do życia i to ten, którego najmniej znam. Wasza cześć uśmiecha się, słysząc co mówię o waszym koniu, ale zapominacie, że w czasie wojny koń jest duszą jeźdźca, tak mościpanie, jego duszą; bo kto rzuca popłoch wśród piechoty? koń! Bo z pewnością nie człowiek, co raz puszczony, tworzy na nim jeno wiązkę siana. Kto dokonywa wielu godnych podziwu czynów? znów koń. I nieraz jego pan chciałby uciec daleko, a staje się mimowoli zwycięzcą i otrzymuje nagrodę, gdy biedne zwierzę dostaje tylko w skórę. Kto bierze nagrody na wyścigach? koń, co nie zje lepiej niż zwykle, gdy jego pan kładzie złoto do kieszeni i staje się przedmiotem zazdrości swoich przyjaciół i szcunku wszystkich magnatów, jakby to on sam biegał. Kto poluje na sarnę, a nie dostaje z niej najmniejszego kawałka? znów koń! Tymczasem zdarza się nieraz, że to biedne zwierzę bywa samo zjadane! I w jednej kampanii z imcipanem marszałkiem, zdarzyło mi się... Ale co wam jest, mości margrabio? wasza cześć błędnie...

— Przewiąż mi czem nogę, chustką, rzemie-niem, lub czem chcesz, bo czuję ból palący; nie wiem, co to jest.

— Wasz but przecięty, mospanie, i zrobiła to

prawdopodobnie jakaś kula; lecz ołów jest przyjacielem człowieka.

— Jednakże dolega mi bardzo!

— Ba! kto lubi, ten i czubi, mospanie; ah! ołów! nie trzeba źle mówić o ołowiu; któż bo...

Zajęty obwiązywaniem nogi Cinq-Marsa poniżej kolana, poczeiwiec zabierał się do obrony ołowiu tak samo głupio, jak to uczynił, mówiąc o koniu, gdy został zmuszony wraz ze swym panem nadstawić ucha, słysząc żywą i hałaśliwą sprzeczkę między wielu żołnierzami szwajcarskimi, stojącymi w pobliżu, po odejściu wszystkich wojsk; rozmawiali, machając rękami, i zdawało się, że byli zajęci dwoma ludźmi, którzy stali w otoczeniu trzydziestu blisko żołnierzy.

D'Effiat, z wyciągniętą ciągle nogą ku swemu służącemu, i oparty na siodle swego konia, usiłował, słuchając uważnie, zrozumieć ich słowa; lecz nie znał zupełnie języka niemieckiego i nie mógł nic odgadnąć z ich kłótni. Grandchamp trzymał w ręku jego but i słuchał z wielkiem namaszczeniem, aż nagle zaczął się śmiać serdecznie, wzięwszy się za boki, czego dawno u niego nie widziano.

— Ah! ah! mospanie, to dwaj sierżanci kłócą się o to, którego z owych dwóch Hiszpanów mają powiesić; bo wasi czerwoni towarzysze nie zadali sobie tego trudu; jeden z tych Szwajcarów twierdzi, że oficera, drugi zapewnia, że żołnierza, i oto trzeci ich pogodził.

— I cóż on powiedział?

— Powiedział, aby powiesić ich obu.

— Zwolna! zwolna!—zawołał Cinq-Mars, usiłując chodzić.

Ale nie mógł oprzeć się na nodze.

— Wsadź mnie na konia, Grandchamp!

— Wasza cześć żartuje chyba, wasza rana...

— Rób co ci każe i siadaj następnie sam.

Stary sługa, łajac, usłuchał przecież i pobiegł, otrzymawszy drugi rozkaz bardzo stanowczy, zatrzymać Szwajcarów, już na równinie, gotowych powiesić swych więźniów na drzewie, albo raczej dać im się do niego przywiązać, gdyż oficer z zimną krwią swego energicznego narodu sam założył sobie na szyję pętlę ze sznura i wszedł bez proszenia na drabinę opartą o drzewo, aby zawiązać drugi koniec. Żołnierz z tym samym spokojem obojętnym, patrzył na Szwajcarów, kłócących się dokoła niego i trzymał drabinę.

Cinq-Mars przybył w sam czas, aby ich ocalić, przedstawił się podoficerowi szwajcarskiemu i biorąc starego Grandchampa za tłómacza, oświadczył, że ci dwaj więźniowie należą do niego i że każe zaprowadzić ich do swego namiotu, że jest kapitanem gwardyi i bierze odpowiedzialność za to na siebie. Niemiec, znający zawsze rygor wojskowy, nie śmiał odpowiedzieć; opór nastąpił tylko ze strony więźnia. Oficer, jeszcze na szczycie drabiny, odwrócił się i mówiąc z niej, jak z kazalnicy, rzekł ze złośliwym uśmiechem:

— Chciałbym bardzo wiedzieć, co ty tu robisz? Kto ci powiedział, że pragnę żyć?

— Nie pytam się o to—odparł Cinq-Mars, mało mnie obchodzi, co się z wami stanie później; chcę w tej chwili nie dopuścić do czynu, który mi się wydaje niesłusznym i okrutnym. Odbierzcie sobie potem życie, jeśli chcecie.

— To dobrze powiedziane — odrzekł srogi Hiszpan — ty mi się podobasz. Sądziłem naprzód, że przyszedłeś udawać szlachetnego, aby mnie zmusić do wdzięczności, czego nie cierpię. A więc zgadzam się zejść, lecz będą cię nienawidził tak, jak przedtem, gdyż jesteś Francuzem, uprzedzam cię o tem i nie dziękuję ci, bo ty odwdzięczyłeś się tylko wzglę-

dem mnie: to ja dziś rano nie pozwoliłem cię zabić temu młodemu żołnierzowi, gdy mierzył do ciebie, a nie chybił nigdy orła w górach Léonu.

— Niech i tak będzie—powiedział Cinq-Mars—zejdźcie.

Charakter jego nakazywał mu być zawsze z innymi takim, jakimi oni okazywali się względem niego i ta szorstkość uczyniła go żelaznym.

— A to hardy chłop, mospanie — rzekł Grandchamp — gdyby tu był imcipan marszałek, toby go z pewnością zostawił na drabinie. Dalej, Ludwiku, Stefanie, Hermanie, chodźcie pilnować i prowadzić więźniów naszego pana; ładny zrobiliśmy nabytek; jeśli to nam przyniesie szczęście, zdziwię się bardzo.

Cinq-Mars, odczuwając ból z powodu ruchu swego konia, jechał dosyć wolno, aby nie wyprzedzać owych ludzi, idących pieszo; postępował zdaleka za kolumną kompanii, ciągnącą za orszakiem króla i myślał o tem, co ten monarcha mógł chcieć mu powiedzieć. Promień nadziei dał mu widzieć obraz Maryi Mantuańskiej w oddaleniu i miał chwilę spokoju w myślach. Ale cała jego przyszłość była w tem jednym słowie: „podość się królowi”; zaczął rozważać nad wszystkim, co w niem jest przykre.

W teże chwili ujrzał nadchodzącego swego przyjaciela, imcipana de Thou, który zaniepokojony tem, że ten pozostał w tyle, szukał go na równinie i chciał mu przyjść z pomocą, gdyby tego zasza potrzebą.

— Późno, mój przyjacielu, noc się zbliża; zatrzymałeś się dość długo; bałem się o ciebie. Kogoż to prowadzisz? Dlaczego się zatrzymałeś? Król wezwie cię wkrótce.

Takie były szybkie zapytania młodego radey, któremu niepokój kazał zapomnieć o zwykłej równowadze umysłowej, czego nie mogła zrobić bitwa.

— Byłem trochę ranny; prowadzę więźnia, a my-

ślałem o królu. Czego może on chcieć odemnie? Co trzeba czynić, jeśli zechce zbliżyć mnie do tronu? Trzeba się podobać. Na tę myśl, mamże ci się do tego przyznać?—bierze mnie ochota uciec i mam nadzieję, że nie dostąpię fatalnego zaszczytu, aby żyć przy nim. Podość się! Jak to słowo jest upokarzające; być posłusznym, już nie tak. Żołnierz wystawia się na śmierć i oto wszystko. Lecz ile giętkości, poświęceń swego charakteru, ile układów ze swoim sumieniem, ile spodlenia własnej myśli w życiu dworaka! Ach, de Thou! mój drogi de Thou! Nie jestem stworzony dla dworu, ja to czuję, chociaż widziałem go tylko przez chwilę; mam coś dzikiego w głębi swego serca, co wychowanie ukształciło jeno z wierzechu. Zdaleka czułem się zdolny do życia w tym świecie wszechpotężnym, pragnąłem tego nawet, wiedziony ukochanym zamysłem swojego serca; ale się cofam na samym wstępie; widok kardynała kazał mi zdrześć; wspomnienie ostatniej z jego zbrodni, przy której byłem obecny, nie dało mi wyrzec do niego słowa; on mnie przejmuje zgrozą, nie będę mógł uczynić tego nigdy. Łaska króla ma także, sam nie wiem, coś, co mnie przeraża, jakby miała stać się dla mnie zgubą.

— Szczęśliwy jestem, że widzę w tobie ten przestrach; będzie on dla ciebie zbawienny być może — odparł de Thou, idąc. — Wejdiesz w związki i obcowanie z potęgą; nie będziesz jej czuł, będziesz się jej dotykał; zobaczysz, czem jest i z jakiej ręki grom uderza. Niestety! daj Boże, aby cię nie spalił! Będziesz obecny może na tych posiedzeniach, gdzie radzą nad losem narodów; zobaczysz, każesz tworzyć te zachcianki, z których powstają krwawe wojny, podboje i traktaty; będziesz trzymał w swych rękach kroplę wody, tworzącej potoki. Bo tylko z wyżyn ocenia się właściwie sprawy ludzkie, mój przyjacielu; trzeba

naprzód wejść na miejsca wyniosłe, aby poznać małość tych, co zdają się nam wielkimi.

— Ech! gdybym ja tam był, to skorzystałbym przynajmniej z tej lekcji, o jakiej mówisz, mój przyjacielu; lecz ten kardynał, ten człowiek, względem którego trzeba mi zaciągnąć obowiązek, ten człowiek, którego znam zanadto z jego dzieła, czem on będzie dla mnie?

— Przyjacielem, opiekunem zapewne — odparł de Thou.

— Raczej śmierć tysięcy razy, niż jego przyjaźń! Cała jego istota, aż do jego nazwiska nawet, jest mi nienawistna; on przelewa krew ludzi przez krzyż Odkupiciela.

— Jakież okropne rzeczy mówisz, mój drogi! Zgubisz siebie, jeśli zdradzisz się przed królem z temi uczuciami dla kardynała.

— Mniejsza z tem, pośród tych krętych ścieżek chcę wytknąć nową linię prostą. Moja myśl cała, myśl człowieka sprawiedliwego, odsłoni się przed wzrokiem króla samego, jeżeli ją zapyta, choćby miała kosztować mnie życie. Widziałem nareszcie tego króla, którego odmalowano mi tak słabym; widziałem go, a jego widok mimowolnie poruszył moje serce; zapewne jest on bardzo nieszczęśliwy, ale nie może być okrutny, on wysłucha prawdy...

— Tak, lecz nie będzie śmiał dać jej tryumfować — odparł rozsądny de Thou. — Zabezpiecz się od tego serdecznego zapału, który cię unosi często swemi nagłemi i bardzo niebezpiecznemi porywami. Nie uderzaj na kolos taki, jak Richelieu, nie zmierzysz go pierwej.

— Prawisz, jak mój guwerner, ksiądz Quillet; mój drogi i przezorny przyjacielu, nie znacie mnie ani jeden, ani drugi; nie wiecie, jak jestem zmęczony sam sobą i jak daleko sięgnąłem wzrokiem. Muszę się wznieść lub umrzeć.

— Co? już żaden zaszczytów! — zawołał de Thou z najwyższym zdziwieniem.

Jego przyjaciel skłonił głowę na swe dłonie, puszczając cugle swego konia, i nie odpowiedział.

— Co? ta samolubna żądza wieku dojrzałego opanowała ciebie, w dwudziestym roku życia, Henryku? Żądza dostojęństw to najsmutniejsza z nadziei.

— A jednak owaładnęła mną teraz zupełnie, bo żyję tylko dla niej, całe me serce jest nią przepełnione.

— Ach! Henryku, nie poznaję już ciebie! Jakże byłeś inny niegdyś! Nie taję tego przed tobą, zdajesz mi się bardzo upadłym; w owych przechadzkach naszego dzieciństwa, kiedy życie, a zwłaszcza śmierć Sokratesa kazała naszym oczom wylewać łzy uwielbienia i zazdrości; gdy wznosząc się aż do ideału najwyższej cnoty, pożądaliśmy dla siebie w przyszłości tych nieszczęść sławnych, tych klęsk najszczęśliwszych, które tworzą wielkich ludzi; gdy układaliśmy dla siebie sposobności urojone do ofiar i poświęceń; gdyby głos jakiego człowieka wymówił między nami dwoma, nagle, sam wyraz: ambicya, zdawałoby się nam, że dotknęliśmy się węża...

De Thou mówił z ogniem zapału i wyrzutu.

Cinq-Mars jechał dalej, nie odpowiadając i z głową ukrytą w dłoniach; po chwili milczenia odjął je i odsłonił oczy, pełne szlachetnych łez, uściśnął mocno rękę swego przyjaciela i rzekł z przejmującym naciskiem:

— Mości panie de Thou, przypomniałeś mi piękniejszą myśl mojej pierwszej młodości; wierz mi, że nie upadłem, lecz jedna tajemna nadzieja mnie pożera, niestety, nie mogę zwierzyć się z nią nawet tobie! Pogardzam, tak jak ty, ambicyą, która będzie się zdawała mną kierować; cała ziemia w to wierzy, ale co mnie obchodzi ziemia? Co do ciebie, szlachetny przyjacielu, przyrzeknij mi, że nie przestaniesz mieć

szanować, cokolwiek widziałbyś, że robię. Przysięgam na to niebo, że moje myśli są czyste, jak ono.

— Więc dobrze — odparł de Thou — przysięgam na nie, że wierzę ci ślepo; wracasz mi życie!

Trzymali jeszcze w serdecznym uścisku swe ręce, kiedy się spostrzegli, że przybyli prawie przed sam namiot króla.

Dzień zapadł zupełnie, lecz można było sądzić, że dzień łagodniejszy nastawał, bo księżyc wyszedł z za morza w całym swoim blasku; przezroczyście niebo południa nie było obciążone żadną chmurą i zdawało się być zasłaną z bladego błękitu, usianego blaszkami srebrnymi; powietrze, jeszcze rozpalone, było poruszane tylko przez rzadki powiew wiatru od morza Śródziemnego; wszelki zgiełk ustał na ziemi. Wojsko zmęczone odpoczywało pod namiotami, których ognie znaczyły linię; obleżone miasto zdawało się przybite tym samym snem; widać było na jego szanicach tylko końce broni warty, świecące w blasku księżyca, lub ogień, błakający się przy obchodzeniu straży nocnej, słychać było tylko niekiedy powrę i przeciągłe głosy szyldwachów, dających znać o sobie, aby nie zasnąć.

Jedynie dokoło króla wszystko czuwało, ale w dość wielkiej odległości. Monarcha kazał oddalić cały swój orszak, sam przechadzał się przed swoim namiotem, zatrzymując się czasami, aby podziwiać piękność nieba, i zdawał się pogrążony w melancholijnem rozmyślaniu. Nikt nie śmiał mu przerwać, a pozostali w kwaterze królewskiej magnaci zbliżyli się do kardynała, który o dwadzieścia kroków od króla siedział na wzgórku z murawy, przekształconym na ławkę przez żołnierzy; tam ocierał swe czoło blade, zmęczony troskami dnia i niezwykłym ciężarem zbroi, żegnał kilku przyspieszonymi, lecz zawsze uprzejmymi i grzecznymi słowami tych, którzy przyszli po-

zdrowić go, a odchodząc, miał już tylko Józefa, rozmawiającego z Laubardemontem.

Kardynał patrzył w stronę króla, czy przed powrotem monarcha nie przemówi do niego, gdy dał się słyszeć tentent koni Cinq-Marsa; strażę kardynała po krótkiej indagacji przepuściły go bez orszaku i tylko z de Thou.

— Przybyliście zbyt późno, młodzieńcze, aby mówić z królem! — rzekł cierpko książę kardynał. — Nie każe się czekać Jego Królewskiej Mości.

Dwaj przyjaciele mieli się już cofnąć, gdy dał się słyszeć głos samego Ludwika XIII. Monarcha ten znajdował się w owej chwili w jednej z tych fałszywych pozycei, które były nieszczęściem całego jego życia. Rozdrażniony do głębi na swego ministra, lecz nie kryjąc przed samym sobą, że mu zawdzięczał powodzenie dnia, czując nadto potrzebę oznajmienia mu, że ma zamiar opuścić armię i zawiesić obleżenie Perpignan, walczył między pragnieniem pomówienia z nim a obawą, by nie osłabnąć w swem niezadowolaniu; minister ze swej strony nie śmiał odezwać się do niego pierwszy, niepewny, jakie myśli krążą w głowie jego pana i bojąc się trafić nie w porę, lecz nie mogąc również zdecydować się odejść; obadwaj znajdowali się tedy w położeniu dwojga poróżnionych kochanków, którzy chcieliby otrzymać wyjaśnienie, gdy król pochwycił z radością pierwszą sposobność, aby z niego wyjść. Przypadek był zgubny dla ministra; oto od czego zależą tak zwane wielkie losy.

— Czy to nie imci pan de Cinq-Mars? — zapytał król głosem podniesionym. — Niech przyjdzie, czekam na niego.

Młody d'Effiat zbliżył się na koniu i na kilka kroków od króla chciał zsiąść, ale zaledwie jego noga dotknęła murawy, upadł na kolana.

— Wybaczcie Najjaśniejszy Panie, zdaje mi się, że jestem raniony.

I krew zaczęła gwałtownie uchodzić z jego buta. De Thou, widząc, że upadł, podszedł, aby go podtrzymać. Richelieu skorzystał z tej sposobności, aby zbliżyć się także z udaną gorliwością.

— Usuńcie to widowisko z przed oczów króla! — zawołał. — Widzicie przecież dobrze, że ten młodzieniec umiera!

— Bynajmniej! — odparł Ludwik XIII, sam go podtrzymując. — Król Francji umie patrzeć na śmierć i nie lęka się wcale krwi, która płynie dla niego. Ten młodzieniec jest mi drogi; niech go zaniosą do sąsiedniego namiotu i dadzą mu moich lekarzy; jeśli jego rana nie jest ciężka, pojedzie on ze mną do Paryża, gdyż oblężenie zostaje zawieszane, moi kardynałowie, widziałem dosyć; inne sprawy powołują mnie do centrum królestwa, zostawię was tu, byście objęli dowództwo na czas mojej nieobecności, oto co chciałem wam powiedzieć.

Po tych słowach król wrócił szybko do swego namiotu, poprzedzony przez swych paziów i oficerów, trzymających pochodnie.

Pawilon królewski był zamknięty. Cinq-Mars, uniesiony przez de Thou i swoich ludzi, gdy książę de Richelieu, nieruchomy i osłupiały, patrzył jeszcze na miejsce, gdzie zaszła ta scena, zdawał się rażony piorunem i niezdolny widzieć lub słyszeć tych, którzy mu się przyglądali.

Laubardemont, jeszcze przestraszony jego złem przyjęciem z dnia poprzedniego, nie śmiał wyrzec słowa, a Józef nie mógł w nim poznać dawnego swego pana; żałował przez chwilę, że mu się oddał i sądził, że jego gwiazda bladła, lecz pomyślawszy, że był nienawidzony przez wszystkich ludzi i miał pomoc tylko w kardynale, schwycił go za ramię i potrząsając silnie, rzekł do niego półgłosem, lecz szorstko:

— Cóż znów, monsignorze, jesteście z mokłą kurą, chodźcie z nami.

I jakby go podtrzymywał za łokieć, a naprawdę wprowadzając go mimowolnie z pomocą Laubardemonta zmusił go, aby wrócił do swego namiotu, jak nauczyciel zmusza do spania ucznia, dla którego obawia się mgły wieczoru. Richelieu usłuchał w końcu namowy swoich dwóch służalców i purpura pawilonu opadła za nim.



ROZDZIAŁ XII.

ROZMOWA WIECZORNA.

O coward conscience, how dost thou afflict me!
 — The lights burn blue.—It is now dead midnight.
 Cold fearful drops stand on my trembling flesh.
 — What do I fear? myself?
 — I love myself!...

Shakespeare.

Zaledwie kardynał wszedł do swego namiotu, padł jeszcze uzbrojony i opancerzony na wielki fotel i tu, podniósłszy chustkę do swych ust, z nieruchomym wzrokiem pozostał w tej postawie, pozwalając swoim dwóm czarnym powiernikom zbadać, czy rozmyślanie lub niemoc ogólna nie zatrzyma go w niej zbyt długo. Był śmiertelnie błądy i zimny pot ociekał mu z czoła. Ocierając je ruchem gwałtownym, odrzucił na bok swój biret czerwony, jedyną oznakę duchowną, jaka mu pozostała i ukrył twarz w dłoniach. Kapucyn z jednej strony, ponury urzędnik sądowy z drugiej przyglądali mu się w milczeniu i zdawali się w swojej odzieży czarnej i szarej kapłanem i notaryuszem przy umierającym.

O. Józef, wydobywając z głębi piersi głos, zdający się właściwym do odprawiania nabożeństwa za umarłych, niż udzielania pociech, odezwał się jednak pierwszy:

— Jeśli jasnie oświecony pan zechce sobie przypomnieć o moich radach, udzielonych w Narbonne, zgodzi się na to, że miałem słuszne przeczucie zmar twień, jakie mu spowoduje pewnego dnia ten młodzieniec.

Referendarz w radzie stanu odparł:

— Dowiedziałem się przez starego głuchego księdza, który był na obiedzie u marszałkowej d'Effiat i wszystko słyszał, że ten młody Cinq-Mars okazywał więcej energii, niż sobie wyobrażano, i że usiłował uwolnić marszałka de Bassompierre. Mam jeszcze szczegółowy raport głuchego, który bardzo dobrze odegrał swą rolę; przewielebny kardynał powinien być z tego zadowolony.

— Mówiłem j. o. panu—zaczął znów Józef—bo ci dwaj zausznicy przemawiali naprzemian, jak pasterze Wirgiliusza;—mówiłem, że byłoby dobrze pozbyć się tego małego d'Effiat i że podjąłbym się tego, gdyby taka była jego dobra wola, łatwo byłoby go zgubić w obliczu króla.

— Byłoby pewnie pozwolić mu umrzeć z tej jego rany—odparł Laubardemont—gdyby jego przewielebność była tak dobra wydać mi odpowiedni rozkaz... Znam wybornie pomocnika lekarskiego, który mnie wyleczył od uderzenia w czoło. To człek przeczorny, bardzo oddany jasnie oświeconemu księdzu kardynałowi i tylko mu szulernia popsuka trochę interesy.

— Sądzę—odrzekł Józef z wyrazem skromności, połączonej z odcieniem goryczy, że gdyby jego przewielebność miała kogoś wyznaczyć do zajęcia się tym użytecznym pomysłem, to byłby najwłaściwszy jego

zwykły negocyator, który już miał swoje chwile powodzenia.

— Zdaje mi się, że mogę z nich wyliczyć kilka dość znacznych—powiedział Laubardemont—i bardzo niedawnych, a które przedstawiały wielką trudność.

— Ach, bezwątpienia — rzekł ojciec z półukłonem i wyrazem poważania i uprzejmością—waszą miłą najśmielszą i najzręczniejszą było osądzenie Urbana Grandier, czarnoksiężnika. Ale przy pomocy Bożej można dokonać tak dobrych i wielkich rzeczy. Nie jest to bez pewnej zasługi naprzykład — dodał, spuszczać oczy, jak młoda panienska—wytępić zupełnie jedną gałąź królewską Burbonów.

— Nie było bardzo trudno — odparł z goryczą referendarz w radzie stanu—wybrać sztyldwacha i zacząć mu zabić hrabiego de Soissons. lecz przewodniczyć, sądzić...

— I stracić na rusztowaniu—przerwał Kapucyn z uniesieniem — jest mniej trudno z pewnością, niż wychować człowieka od dziecka tak, aby dokonał wielkich rzeczy w cichości i zniósł, gdyby tego było potrzeba, raczej męki dla miłości nieba, niż wyjawiał imiona tych, co go uzbroili swą sprawiedliwością, lub aby umarł odważnie na ciele zamordowanego, jak to czynił ten, którego posłałem; nie wydał ani jednego jęku, kiedy go spadał uderzył de Requemont, koniuszy księcia. Skończył jak święty, to był mój wychowaniec.

— Rzec inna rozkazywać, a narażać się na niebezpieczeństwa.

— A czyż nie narażłem się na nie przy oblężeniu Roszelli?

— Na utonięcie w kanale bezwątpienia? — powiedział Laubardemont.

— A nam—rzekł Józef—groziło wielkie niebezpieczeństwo wetknięcia palców w narzędzia męki,

a to wszystko dlatego, że przełożona Urszulanek jest waszą siostrzenicą.

— To było dobre dla waszych braci świętego Franciszka, trzymających młoty, bo co do mnie, zostałem uderzony w czoło przez tego samego Cinq-Marsa, który wiódł rozkiełznany motłoch.

— Jesteście zupełnie tego pewni?—zawołał Józef zachwycony. — Więc on śmiał iść tym sposobem wbrew rozkazom króla?

Radość, otrzymana z tego odkrycia, kazała mu zapomnieć o jego gniewie.

— Zuchwalcy! — zawołał kardynał, przerywając nagle milczenie i odejmując od swych ust chustkę, krwią zbroczoną.—Ukarałbym waszą krwawą rozpawę, gdybym się z niej nie był dowiedział o wielu tajemnicach bezecności z waszej strony. Przekroczono zakres moich rozkazów: nie zalecałem wcale tortur, Laubardemont, to twoja druga wina, każesz nienawidzieć mnie za nic, to było zbyt uczynne. Ale ty, Józefie, nie zapomnij o szczegółach tego rozruchu, w którym był Cinq-Mars, to może przydać się później.

— Posiadam wszystkie nazwiska i rysopisy!—powiedział z pośpiechem sędzia tajny, nachylając ku fotelowi swoją wysoką figurę, oraz twarz oliwkową i chudą, zmarszczoną służalczym uśmiechem.

— To dobrze, to dobrze!—rzekł minister, odpychając go. — Nie chodzi jeszcze o to. Ty, Józefie, bądź w Paryżu przed tym młodym zarozumiałcem, który zostanie ulubieńcem, jestem tego pewien; stań się jego przyjacielem, wyciągnij z tego korzyść dla mnie, albo go zgub; niechaj mi służy, albo niech upadnie. Ale nadewszystko przyslij mi ludzi pewnych i każdego dnia dla zdania mi rachunku słownie, nigdy piśmiennie, w przyszłości. Jestem bardzo niezadowolony z ciebie, Józefie, jakiegoż nędznego gońca wybrałeś do przywiezienia wiadomości z Kolonii! nie

mógł mnie zrozumieć; zobaczył króla zawczasie i o to musimy walczyć z jedną jeszcze niełaską. O mało nie zgubiłeś mnie zupełnie. Zobaczycie, co zrobią w Paryżu; nie zaniechają uknuć spisku przeciwko mnie, lecz to będzie ostatni. Zostanę tu, aby pozwolić im wszystkim swobodnie działać. Wyjdźcie obadwaj i przyslijcie mi mojego kamerdynera dopiero za dwie godziny, chcę być sam.

Słychać jeszcze było kroki tych dwóch ludzi, a Richelieu, z oczyma utkwionemi w wejście do swego namiotu, zdawał się ścigać ich zagniewanym swoim wzrokiem.

— Nędznicy!—zawołał, gdy został sam;—idźcie jeszcze dokonać jakiego dzieła potajemnego, a potem ja złamię was samych, sprężyny nieczyste mojej mocy. Wkrótce król padnie ofiarą powolnej choroby, która go pożera; będę rejentem wtedy, ja sam będę królem Francji; nie będę już potrzebował się obawiać zachcianek jego słabości, zniszczę bezpowrotnie dumne rody tego kraju, zaprowadzę w nim równię straszliwą i różgi Tarkwiniusza, będę sam nad nimi wszystkimi, Europa będzie drżała, ja...

Tu smak krwi, napływającej znów do jego ust, zmusił go przyłożyć do nich chustkę.

— Ach, co mówię? nieszczęśliwy! Otom skazany na śmierć; rozpadam się, moja krew upływa, a mój duch chce pracować jeszcze! Poco? Dla kogo? Dla sławy? to pusty dźwięk; dla ludzi? gardzę nimi. Dla kogoż więc, gdy mam umrzeć za dwa, za trzy lata może? Czy dla Boga? co za imię!... nie szedłem z Nim, On wszystko widział...

Tu głowa opadła mu na piersi, a jego oczy spotkały wielki złoty krzyż, który nosił na szyi; nie mógł się wstrzymać, ażeby się nie rzucić w tył, aż w głąb fotelu; lecz krzyż poszedł za nim; wziął go tedy i przypatrując mu się nieruchomym i pożerają-

cym wzrokiem:—Znaku straszliwy—powiedział cicho—ty mnie ścigasz! Odnajdęz ciebie jeszcze gdzieindziej... bóstwo i męko! czemże jestem? co uczyniłem?

Po raz pierwszy dziwny i nieznanym strach go przeniknął; drżał, mrożony i palony zarazem niezwykłym dreszczem; nie śmiał podnieść oczu z obawy, ażeby nie spotkać jakiej wizji straszliwej; nie śmiał zawołać z obawy, ażeby nie usłyszeć dźwięku swego własnego głosu; pozostał oddany głębokiemu rozmyślaniu nad wiecznością, tak straszną dla niego i wyszeptał jakby w modlitwie:

— Wielki Boże, jeśli Ty mnie słyszysz, sądz mnie więc, ale mnie nie odłączaj, aby mnie sądził. Patrz na mnie otoczonego ludźmi mego wieku; patrz na dzieło niezmiernie, które przedsięwziąłem; czyż nie trzeba było jednego olbrzymiego lewara, ażeby poruścić te masy? a jeśli ten lewar padając zdruzgoce kilku nędzników nieużytecznych, czyż jestem bardzo winny? Wydam się złym dla ludzi; ale Ty, sędzio najwyższy, czyż tak będziesz patrzył na mnie? Nie; Ty wiesz, że to władza nieograniczona czyni stworzoną istotę winną względem istoty; to nie Armand de Richelieu skazuje na śmierć, to pierwszy minister. To nie dla zniewag osobistych, lecz dla trzymania się jednego systemu. Ale ten system... co znaczy to słowo? Czy wolno mi było igrać tak z ludźmi i uważać ich za ilość dla wykonania pewnej myśli, by może błędnej? Obalam otoczenie tronu. Tak, nie wiedząc o tem, podkopywałem jego podwaliny i przyspieszałem jego upadek! Tak, moja władza pożyczona uwiodła mnie. O, labirynty, o, słabości myśli ludzkiej!... Prosta wiara! dlaczego porzuciłem twoją drogę?... czemuż nie jestem tylko zwykłym kapłanem? Gdybym miał odwagę zerwać z człowiekiem i oddać się Bogu, drabina Jakóbowa zastąpiłaby jeszcze w moich snach!

W tej chwili o jego ucho odbił się wielki hałas, pochodzący ze dworu; śmiechy żołnierzy, dzikie wycia i przekleństwa mieszały się ze słowami, dosyć długo podtrzymywanymi głosem słabym, lecz wyraźnym; rzecby można, że to śpiew aniola, przerywany śmiechami złych duchów. Wstał i otworzył rodzaj okna z płótna, zrobiony w jednym z boków czworokątnego jego namiotu. Niezwykły widok przedstawił się jego oczom; pozostał przez chwilę dla przyjrzenia mu się i przysłuchania prowadzonym rozmowom.

— Słuchaj, słuchaj, La Valeur — mówił jeden żołnierz do drugiego, oto znów zaczyna rozmawiać i śpiewać; umieść ją pośród koła, między nami a ogniem.

— Ty nie wiesz, ty nie wiesz — mówił drugi, oto Grand Ferré powiada, że ją zna.

— Tak, mówię ci, że ją znam i na Św. Piotra z Loudunu przysiągłbym, że ją widziałem w mojej wsi, gdy byłem na urlopie, a widziałem ją przy sprawie, w której nie żartowano, lecz o której się nie mówi, zwłaszcza takiemu, jak ty, kardynaliście.

— A dlaczegoż to się o niej nie mówi, skończony głuptasie? — odparł stary żołnierz, podkreślając swoje wąsy.

— Nie mówi się o tem, bo to parzy język — czy rozumiesz?

— Nie, nie rozumiem tego.

— A więc! ani ja również; ale powiedzieli mi o tem mieszczanie.

Tu przerwał mu powszechny wybuch śmiechu.

— Ach, ach! czy on zgłupiał? — mówił jeden; — on słucha, co mówią mieszczanie.

— A to dobre! jeśli słuchasz ich paplaniny, masz widocznie dużo czasu do stracenia — odparł drugi.

— Czy nie wiesz, co mówiła moja matka,

smarkaczu? — wyrzekł poważnie najstarszy wiekiem, spuszczać oczy, z miną groźną i uroczystą, aby go słuchano.

— Ech! jakże chcesz, ażebym wiedział o tem, La Pipe? Twoja matka musiała umrzeć ze starości, zanim mój dziadek przyszedł na świat.

— A więc! chłystku, ja powiem ci o tem. Dowiesz się naprzód, że moja matka była czcigodną cyganką, tak przywiązaną do karabinierów de la Roque'a, jak mój pies Harmata, którego tu widzicie; nosiła gorzałkę w sądku, na szyi, i piła lepiej, niż każdy z nas; miała ona czternastu mężów, wszystko wojskowych i poległych na polu bitwy.

— Oto kobieta, co się zowie! — przerwali żołnierze, pełni uszanowania.

— A nigdy w życiu nie odezwała się do mieszczucha, chyba tylko, aby mu powiedzieć, wchodząc do mieszkania: „Zapał mi świecę i każ odgrzać moją zupę”.

— No i co mówiła ci twoja matka? — zapytał Grand-Ferré.

— Jeśli się śpieszysz, to się dowiesz, żółto-dziobku — mawiała ona zwykle w swych rozmowach: żołnierz wart więcej, niż pies; ale pies wart więcej, niż tyk.

— Brawo, brawo! dobrze powiedziane! — wołali żołnierze pełni zapału dla tych pięknych słów.

— Lecz to nie przeszkadza — rzekł Grand-Ferré — aby mieszczanie, którzy mi powiedzieli, że to parzy język, mieli słuszność; zresztą to nie byli całkiem mieszczanie, bo mieli szpady i oburzali się, że palono proboszcza, a ja także.

— I co ci to szkodziło, że palono twojego proboszcza, moje ty niewiniątko? — odparł sierżant bojowy, oparty na widłach swojej rusznicy — po nim będzie inny; mógłbyś wziąć na jego miejsce jednego

z naszych generałów, którzy są teraz wszyscy proboszczami; jestem rojalistą i mówię to otwarcie.

— Uciszcie się — zawołał La Pipe — pozwólcie mówić tej dziewczynie. Ci rojaliści, jak te psy, przychodzą zawsze przeszkadzać nam w zabawie.

— Co ty mówisz? — odparł Grand-Ferré — czy chociaż wiesz, co to jest być rojalistą?

— Och — rzekł La Pipe — znam was wszystkich dobrze, bądź spokojny; trzymacie dla dawnych tak zwanych książąt pokoju z gałganami, przeciw kardynałowi i podatкови od soli; cóż? mam słuszość, czy nie?

— Otóż nie, stara czerwona-pończoch! Rojalistą jest ten, co trzyma za królem, ot co to jest. A ponieważ mój ojciec był służącym kobusów króla, trzymam za królem; ot co! Nie lubię czerwonych, pończoch, to bardzo proste.

— Ach! nazywasz mnie czerwoną-pończochą — odparł stary żołnierz; dasz mi za to zadouśuczynienie jutro rano. Gdybyś był wojował pod Valteliną, nie odzywałbyś się tak do mnie; a gdybyś był widział jego przewielebność przechadzającą się po grobli Roszelli ze starym margrabią de Spinola, pod gradem kul armatnich, nie powiedziałbyś nic o czerwonych-pończochach, rozumiesz?

— Dalej, bawmy się, zamiast się sprzeczać — podniosły się inne głosy.

Rozprawiający tak śmiało żołnierze stali dokoła wielkiego ognia, który im świecił lepiej, niż księżyc, aczkolwiek bardzo piękny, a pośród nich znajdował się przedmiot ich zbiegowiska, oraz ich krzyków. Kardynał rozpoznał młodą kobietę czarno-ubraną i zasłoniętą długim białym welonem; jej nogi były bosc; gruby sznur opasywał kształtną jej kibić, długi różaniec spadał z jej szyi aż do stóp, jej ręce delikatne i białe, jak kość słoniowa, poruszały jego ziarnka

i obracały je szybko pod palcami. Żołnierze z dziką radością zabawiali się przygotowaniem żaru na drodze, aby parzył bosc jej nogi; najstarszy wziął knot dymiący od swej rusznicy i zbliżając go do dolnej części jej sukni, rzekł chropowatym głosem:

— Dalej, waryatko, opowiedz nam jeszcze swoją historię, albo cię napelnię prochem i wysadzę w powietrze, jak minę; strzeż się, bo już urządziłem takiego figla innym tobie podobnym w starych wojnach z Hugonotami. Dalej, śpiewaj!

Młoda kobieta, patrząc na nich z powagą, nie odrzekła nic i opuściła swój welon.

— Żle się do niej bierzesz — powiedział Grand-Ferré ze śmiechem bachicznym — rozbeczy się przez ciebie, nie znasz pięknej mowy dworu; ja z nią pomówię.

I biorąc ją za podbródek, rzekł do niej:

— Moje serduszko, moja pieszczotko, gdybyś zechciała rozpocząć nanowo śliczną historyjkę, którą opowiadałaś przed chwilą tym panom, poprosiłbym cię, abyś się ze mną przejechała po rzece Czutego, jak mówią wielkie damy Paryża, i wypła szklanicę gorzałki z twoim wiernym rycerzem, który cię spotkał niegdyś w Loudunie, gdy grałaś komedję, aby kazać spalić jednego biednego dyabła...

Młoda kobieta skrzyżowała swe ręce i spoglądając wkoło siebie z miną rozkazującą, zawołała:

— Oddalcie się, w imię Pana zastępów, precz, ludzie nieczyści! niema nic wspólnego między nami. Nie rozumiem waszej mowy, a wy nie zrozumielibyście mojej. Idźcie sprzedawać swoją krew książętom ziemi za tyle obolów dziennie i pozwólcie mi dokonać mego posłannictwa. Prowadźcie mnie do kardynała...

Śmiech grubiański przerwał jej mowę.

— Czy sądzisz — zapytał karabinier Maurevert'a — że jego przewielebność naczelny wódz przyjmie cię u siebie z twemi bosemi nogami? Idź je umyć.

— Pan powiedział: Jerozolimo, podnieś swoją suknię i przejdź rzeki — odrzekła ze skrzyżowanemi wciąż rękoma. — Niechaj mnie zaprowadzą do kardynała!

Richelieu zawołał silnym głosem:

— Niechaj mi przywiodą tę kobietę i niech ją pozostawią w spokoju!

Wszystko umilkło, zaprowadzono ją do ministra.

— Dlaczego — zapytała, widząc go — przywieziono mnie do człowieka uzbrojonego?

Zostawiono ją samą przed nim bez odpowiedzi.

Kardynał miał podejrzliwą minę, patrząc na nią.

— Pani — rzekł — co robisz w obozie o tej godzinie? a jeśli twój umysł nie jest obłąkany, dlaczego twe nogi bose?

— To ślub, to ślub — odparła młoda zakonnica z wyrazem niecierpliwości, siadając przy nim nagle — uczyniłam także ślub, że nie będę jadła, dopóki nie spotkam człowieka, którego szukam.

— Moja siostrze — rzekł kardynał zdziwiony i ułagodzony, zbliżając się, aby się jej przyjrzeć — Bóg nie wymaga takich surowości w ciele słabem, a zwłaszcza w twoim wieku, bo zdajesz mi się bardzo młoda.

— Młoda? oh! tak, byłam bardzo młoda przed kilku jeszcze dniami, lecz odtąd przeszłam przez dwa istnienia przynajmniej, tyle myślałam i tyle wycierpiałam; spojrzij na moją twarz.

I odsoniła lica nadzwyczaj piękne; czarne oczy bardzo regularne nadawały im życie, lecz gdyby nie

one, możnaby sądzić, że to były rysy upiora, tak była blada; jej wargi były fioletowe i drżały, wielki dreszcz pozwalał słyszeć szczękanie jej zębów.

— Jesteś chora, moja siostrze — rzekł minister wzruszony — biorąc jej rękę, która mu się wydała palącą.

Rodzaj przyzwyczajenia do badania swego zdrowia i innych, kazał mu dotknąć pulsu na jej ręce wychudłej; czuł arterye podnoszone przez uderzenia straszliwej febry.

— Ale — ciągnął z większem zaciekawieniem — zabiłaś siebie surowościami większemi, niż siły ludzkie; zawsze je ganiłem, a zwłaszcza w tak wczesnym wieku. Któż więc mógł cię do tego skłonić! czy dlatego, aby mi się z tem zwierzyć przybyłaś? Mów spokojnie i bądź pewna pomocy.

— Zwierzyć się ludziom? — odparła młoda kobieta, oh! nie, nigdy! Oni mnie wszyscy oszukali; nie zwierzę się nikomu, nawet imcipanu de Cinq-Mars, który przecież ma wkrótce umrzeć.

— Co! — zawołał Richelieu, marszcząc brwi, ale z gorzkim śmiechem — co! znasz tego młodzieńca? czy to on jest powodem twoich nie-szczęść?

— Oh! nie, on jest bardzo dobry i niecierpi złych, to właśnie go zgubi. Zresztą — powiedziała, przybierając nagle wyraz surowy i dziki — mężczyźni są słabi i bywają rzeczy, których muszą dokonać kobiety. Gdy już nie stało mężczyzn w Izraelu, powstała Deborah!

— Eh! zkadże wiesz o wszystkich tych pięknych rzeczach? — ciągnął kardynał, trzymając ciągle jej rękę.

— Oh! tego nie mogę ci wytłumaczyć — odpowiedziała ze wzruszającą naiwnością i głosem bardzo łagodnym młoda zakonnica — nie zrozumiałbyś mnie, to zły duch nauczył mnie wszystkiego i zgubił.

— Eh! moje dziecko, to on zawsze nas gubi, ale źle nas uczy — rzekł Richelieu z miną ojcowskiego napomnienia i ze wzrastającą litością. — Jakież były twoje błędy? powiedz mi je; ja mogę wiele.

— Ah! — zawołała z wyrazem wątpliwości — ty możesz wiele nad wojownikami, nad ludźmi odważnymi i szlachetnymi; pod twoim pancierzem musi bić szlachetne serce; jesteś starym jenerałem, co nie zna nic z podstępów zbrodni.

Richelieu uśmiechnął się, ta pomyłka mu pochlebiała.

— Słyszałem, jak pytałaś się o kardynała; czegoż od niego chcesz w końcu? Poco przyszłaś?

Zakonnica zebrała myśli i położyła jeden palec na swem czole.

— Już nie pamiętam — rzekła — za wiele do mnie mówiłeś... Zgubiłam tę myśl, to była jednak wielka myśl... Dla niej to jestem skazana na głód, który mnie zabija; muszę ją wykonać, lub umrę przedtem. Ah! — zawołała, sięgając ręką pod suknię na swoim łonie, gdzie zdawała się coś brać — oto owa myśl...

Zarumieniła się nagle, a jej oczy otworzyły się nadzwyczajnie i mówiła dalej, nachylona nad uchem kardynała:

— Powiem ci ją, słuchaj: Urban Grandier, mój kochanek, Urban, rzekł do mnie dziś w nocy, że to Richelieu kazał go zgubić; wzięłam nóż w oberżę i przychodzę tu, aby go zabić, powiedz mi, gdzie on jest?...

Kardynał przerażony i zdziwiony cofnął się ze zgrozy. Nie śmiał przywołać swej straży, bojąc się krzyków tej kobiety i jej oskarżeń; a jednak uniesienie tego szaleństwa mogło stać się dla niego zgubnem.

— Ta okropna historia będzie mnie ścigała wszędzie! — zawołał, patrząc na nią ciągle i szukając w swych myślach co postanowić.

Pozostali w milczeniu jedno naprzeciw drugiego, w tej samej postawie, jak dwaj zapaśnicy, którzy patrzają na siebie, zanim uderzą, lub jak pies gończy i jego ofiara, strwożeni potęgą wzroku.

Tymczasem Laubardemont i Józef, wyszedłszy razem od kardynała, rozmawiali z sobą w pewnej odległości od jego namiotu, bo mieli potrzebę oszukiwać się wzajemnie; ich nienawiść nabierała siły w ich sprzeczce i każdy postanowił zgubić swego współzawodnika przy panu. Sędzia zaczął rozmowę, którą każdy z nich przygotował, biorąc się pod rękę, jakby jednym i tym samym ruchem:

— Ah! wielbny ojcze, jakżeś mnie zasmucił, mając minę, jakbyś przyjął ze złej strony moje lekkie żarty, uczynione ci przed chwilą!

— Eh! mój Boże, nie, drogi panie, dalekim od tego. Miłość bliźniego, gdzie byłaby miłość bliźniego? Miewam niekiedy święty zapał w mowie, gdy chodzi o dobro państwa i jaśnie oświeconego pana, któremu jestem całkiem oddany.

— Ah! któż wie o tem lepiej, niż ja, wielbny ojcze? lecz oddajecie mi sprawiedliwość, wiecie także, jakim jestem dla najprzewielebniejszego księcia-kardynała, któremu zawdzięczam wszystko. Niestety! byłem tylko zbyt gorliwy, służąc mu, ponieważ mi to wymawia.

— Uspokójcie się — rzekł Józef — nie gniewa się na was o to; znam go dobrze, pojmuje, że należy coś uczynić dla swej rodziny, jest on również bardzo dobrym krewnym.

— Tak, tak, właśnie — odparł Laubardemont — to była zarazem moja sprawa; moja siostrzenica byłaby zgubiona zupełnie ze swym klasztorem, gdyby Urban triumfował; czujecie to, jak ja, tembardziej, że nie trzymiała nas dobrze i udawała dziecko, kiedy trzeba było wystąpić.

— Czy możebne? na pełnem posiedzeniu? To, co mi mówicie, gniewa mnie prawdziwie za was! Jakież to musiało być przykre!

— Więcej, niż sobie wyobrażacie! Zapominała wszystkiego, co do niej mówiono, w opętaniu robiła tysiąc błędów łacińskich, któreśmy poprawiali, jak było można, a nawet stała się przyczyną nieprzyjemnej sceny w dzień procesu, bardzo nieprzyjemnej dla mnie i dla sędziów: zemdlenie, krzyki. Ah! przysięgam wam, że byłbym jej dobrze wytarł kapitułę, gdybym nie był zmuszony opuścić śpiesznie to miasteczko Loudun. Ale, widzicie, to bardzo proste, że trzymam za nią; to moja najbliższa krewna; bo mój syn zawiódł powzięte w nim nadzieje, nie wiadomo, co się z nim stało od czterech lat. Biedna Joasia de Belfiel; zrobiłem ją zakonnica, a później przełożoną, tylko dlatego, aby ustrzedz od tego niegodziwca. Gdybym mógł przewidzieć jej prowadzenie się, zachowałbym ją dla świata.

— Mówią, że jest niezwyklej piękności — powiedział Józef—to dar nader drogocenny dla rodziny; można ją było przedstawić na dworze, a król... Ah! ah!... Panna de La Fayette... Eh!... eh!... Panna d'Hautefort... rozumiecie... byłoby nawet możebne jeszcze o tem pomyśleć.

— Ah! jak dobrze poznaję was z tego... jaśnie oświecony panie, bo wiemy, że przeznaczono was do kardynałstwa; jakżeście dobrzy, że pamiętacie o najbardziej oddanym z waszych przyjaciół.

Laubardemont rozmawiał jeszcze z Józefem, gdy znaleźli się przy końcu ulicy obozowej, która prowadziła do kwatery ochotników.

— Niech Bóg was ma w swojej opiece i Jego święta Matka podczas mej nieobecności — rzekł Józef, zatrzymując się—pojadę jutro do Paryża, a ponieważ będę miał [nieraz do czynienia z tym małym Cinq-

Marsem, chcę go widzieć pierwej i dowiedzieć się o jego ranie.

— Gdyby mnie usłuchano — powiedział Laubardemont—nie zadawaliście sobie teraz tego trudu.

— Niestety! macie wielką słuszość — odparł Józef z głębokiem westchnieniem i wznosząc oczy do nieba—ale kardynał już nie jest tym samym człowiekiem, nie przyjmuje dobrych rad, zgubi nas, jeśli tak będzie postępował.

I składając głęboki ukłon sędziemu, Kapucyn udał się drogą, którą mu ten wskazał.

Laubardemont ścigał go jakiś czas oczyma i gdy był zupełnie pewny, że Józef poszedł ową drogą, zawrócił, albo raczej pobiegł do namiotu ministra.

— Kardynał go oddala—rzekł do siebie — więc obrzydził go sobie; znam tajemnice, które mogą go zgubić. Dodam, że poszedł nadszakać przyszłemu ulubieńcowi; ja zastąpię tego mnicha w łaskach ministra. Chwila pomyślna, północ; powinien jeszcze zostać sam przez półtorej godziny. Biegnijmy.

W kilka minut przybył do namiotu straży, poprzedzającego pawilon.

— Jaśnie oświecony pan ma kogoś u siebie — rzekł kapitan, wahając się—nie można wejść.

— Nie nie szkodzi, widzieliście mnie, jak wychodziłem przed godziną; zachodzą rzeczy, z których muszę zdać sprawę.

— Wejdz, Laubardemont — zawołał minister — wejdz prędko i sam!

Wszedł.

Kardynał, ciągle siedząc, trzymał obie ręce młodej zakonnicy w jednej ze swoich, a drugą dał znak nakazujący milczenie swemu osłupiałemu ajentowi, który stanął nieporuszony, nie widząc jeszcze twarzy tej kobiety; mówiła płynnie, a dziwna jej mowa two-

rzyła straszliwy kontrast ze słodyczą jej głosu. Richelieu zdawał się wzruszony.

— Tak, zabiję go nożem; to nóż, dany mi przez złego ducha Béhéritha w oberży; ale to gwóźdź Sisary. Ma rękojeść z kości słoniowej, widzisz, a tyle łez wylałam nad nim. Czy to nie dziwne, mój dobry jenerale? Wsadzę go w gardło tego, co zabił mego przyjaciela, jak on sam powiedział, że to robi, a potem spale jego ciało, to kara odwetu, kara, na jaką Bóg pozwolił Adamowi... Masz minę zdziwioną, mój dzielny jenerale... ale zdziwiłbyś się bardziej, gdy bym ci zaśpiewała jego piosenkę... piosenkę, którą śpiewał mi jeszcze wczoraj wieczorem, gdy przyszedł mnie zobaczyć w godzinę kaźni, wiesz dobrze?... w godzinę, kiedy pada, w godzinę, kiedy moje ręce zaczynają palić, jak teraz; rzekł do mnie: „Omylili się wielce sędziowie, sędziowie czerwoni... mam jedenastu dyabłów na rozkazy, i powracam, aby cię zobaczyć, gdy dzwon uderzy... pod baldachimem z purpurowego aksamitu, z pochodniami, z pochodniami z żywicy, które nam świecą; ah! to bardzo pięknie!” Oto, oto co on śpiewa.

I na nutę *De profundis* zaśpiewała sama:

Jam król Piekieła, w państwie onem
Stos płonący jest mi tronem,
Mam żelazne berło w dłoni,
Z żółtej siarki płaszcz mnie stoni,
Lecz poślubię dziś panienkę,
Pójdź, Joanno, daj mi rękę.

Czyż to nie dziwne, mój dobry jenerale? A ja odpowiadam mu co wieczór; słuchaj dobrze tego, oh! słuchaj dobrze...

Sędzia mówił w noc głęboką,
I do grobu mnie już wloką.

Byłam twoją narzeczoną!
Pójdź... deszcz mrozi moje łono,
Lecz nie będziesz sam spał w grobie,
Jeden całun mnie i tobie.

Następnie on mówi, a mówi, jak duchy i jak prorocy. On powiada: „Biada, biada temu, kto przełał krew! Czy sędziowie ziemi są bogami? Nie, to ludzie, co się starzeją i cierpią, a jednak ośmielają się mówić głośno: Niech umrze ten człowiek! Kara śmierci! kara śmierci! Kto dał człowiekowi prawo wykonywać ją na człowieku? Czy to liczba dwóch?... Jeden byłby mordercą, widzisz! Lecz rachuj dobrze: jeden, dwóch, trzech... Oto jak są mądrzy i sprawiedliwi ci złoczyńcy poważni i najemni! O zbrodni! zgrozo nieba! Gdybyś ich widziała ztamtąd, jak ja, Joanno, jakże byłabyś bledszą jeszcze! Ciało niszczy ciało! ono, co żyje z krwi, przelewa krew! zimno i bez gniewu! jak Bóg, który stworzył!”

Krzyki, jakie wydawała nieszczęśliwa dziewczyna, wymawiając szybko te słowa, przeraziły Richelieugo i Laubardemonta do tego stopnia, że długo jeszcze zostali bez poruszenia. Tymczasem obłąkanie i gorączka unosiły ją ciągle.

— Czy sędziowie zazdrzeli? zapytał mnie Urban Grandier, czy obawiają się, aby się nie omylić? Nie sobie nie robią ze śmierci niewinnego. — Tortury! — Ścisną ją członki sznurami, aby go zmusić do wyznania; jego skóra pęka, rozrywa się i rozwija, jak pergamin; ścięgnięta jego mięśni wychodzą na wierzch, czerwone i świecące; kości jego trzeszczą; szpik z nich wytryska... Ale sędziowie śpią. Marzą o kwiatkach i wiośni. Jakże w wielkiej sali gorąco! mówi jeden, budząc się; ten człowiek nie chciał wcale mówić! Czy tortury skończone? I, litościwy w końcu, zezwala na śmierć. Śmierć! jedyna obawa żyjących!

śmierć! świat nieznany! on rzuca tam przed sobą duszę rozszalałą, która czekać nań będzie. Oh! czyż on nie widział wizerunku mściciela? czyż on nie widział go nigdy w swoich snach, ten oprawca przeniewierczy?

Już osłabiony gorączką, zmęczeniem i zgryzotą, kardynał zdjęty zgrozą i litością zawołał:

— Ach, na miłość Boga! skończmy tę okropną scenę; uprowadźcie tę kobietę, ona obłąkana!

Obłąkana odwróciła się i podnosząc nagle krzyk wielki, zawołała:

— Ach, sędzia, sędzia!... — poznając Laubarde-monta.

Ten, składając ręce i korząc się przed ministrem, rzekł z przestrawieniem:

— Niestety, jaśnie oświecony panie, przebaczenie mi, to moja siostrzenica, która zwaryowała; nie wiedziałem o tem nieszczęściu, gdyby nie to, byłaby oddawna zamknięta. Joanno, Joanno... no, pani, na kolana; prosz o przebaczenie jaśnie oświeconego księcia-kardynała...

— To Richelieu! — krzyknęła. A zdziwienie zdawało się zupełnie odejmować władzę tej młodej i nieszczęśliwej piękności; rumieniec, który ożywił ją naprzód, ustąpił miejsca śmiertelnej bladości, jej krzyki głębokiemu milczeniu, jej błędne spojrzenia przerażającej nieruchomości jej wielkich oczów, wpatrzonych jeno w zasmuconego ministra.

— Uprowadźcie szybko to nieszczęśliwe dziecko — odezwał się ten, nie mogąc już wytrzymać; — ona jest umierająca i ja także; tyle okropności ściga mnie od czasu tego skazania, że zdaje mi się, iż całe piekło gwałtownie na mnie powstaje!

Podniósł się, mówiąc to. Joanna de Belfiel, ciągle milcząca i osłupiała, z dzikim wzrokiem, z otwartymi ustami, z głową naprzód pochyloną, została pod wrażeniem swego podwójnego zdziwienia, jakby ono

odjęło jej resztę rozumu i sił. Gdy kardynał się poruszył, zadrżała, widząc się między nim a Laubarde-montem, spojrzała na jednego, to na drugiego, wypuściła nóż trzymany w rękę i cofnęła się wolno ku wyjściu z namiotu, okrywając się zupełnie swoim welonem i odwracając swoje błędne oczy po za siebie, na swego wuja, który poszedł za nią, jak zalek-niona owca, czująca już na swoim grzbiecie gorący oddech wilka, gotującego się do jej pożarcia.

Tak wyszli oboje, lecz za ledwie znaleźli się na dworze, rozwszczęcony sędzia pochwycił ręce swojej ofiary, związał je chustką i uprowadził ją łatwo, bo nie wydała ani jednego krzyku, ani westchnienia, ale szła za nim, z opuszczoną wciąż na piersi głową i jak-
by pogażona w głębokim lunatyzmie.

ROZDZIAŁ XIII.

HISZPAN.

Ach, jak mito posiadać druha prawdziwego!
 On szuka twoich braków w głębi twego serca,
 On oszczędza ci wstydu
 W odnajdywaniu onych przez ciebie samego.
La Fontaine.

Tymczasem scena innego rodzaju odbywała się w namiocie Cinq-Marsa: po słowach króla, pierwszym balsamie jego ran, nastąpiły troskliwe starania chirurgów nadwornych; kula w nodze, z łatwością wyjęta, była jedynym powodem jego wypadku: pozwolono mu na podróż i poczyniono zaraz odpowiednie przygotowania. Chory przyjmował do północy odwiedziny przyjaciół, oraz interesowanych; do pierwszych należeli mały Gondi i de Fontrailles, szykujący się także obaj do opuszczenia Perpignanu dla Paryża; dawny paź, Olivier d'Entraigues, przyłączył się do nich, aby złożyć życzenia szczęśliwemu wolontaryuszowi, którego król, zdawało się, odznaczył; zwykła ozębność monarchy względem wszystkiego, co go

otaczało, kazała wszystkim, co byli tego świadomi, uważać kilka wypowiedzianych przezeń słów jako pewne oznaki wysokiej łaski, dlatego wszyscy przyszli mu winszować.

Nakoniec został sam na swem łożu obozowem; imć pan de Thou, siedząc obok, trzymał go za rękę, a Grandchamp, u jego nóg, łajał swego pana, że się zmęczył wszystkimi temi odwiedzinami, zamiast odpocząć, przed udaniem się w tak długą drogę. Co do Cinq-Marsa, ten kosztował wreszcie jednej z owych chwil spokoju i nadziei, co poniekąd odświeżają razem i duszę i krew; i przyciskał potajemnie drugą ręką złoty krzyż, zawieszony na jego sercu, czekając na tę rękę uwielbiana, która go dała, i spodziewając się wkrótce przycisnąć ją samą. Słuchał jeno wzrokiem i uśmiechem rad młodego sędziego i marzył o celu swej podróży, będącej także celem jego życia. Poważny de Thou mówił do niego głosem spokojnym i łagodnym:

— Pojadę wkrótce za tobą do Paryża. Jestem szczęśliwszy, niż ty sam, widząc, że król zabiera cię tam z sobą; to początek przyjaźni i trzeba ją szanować, masz słusność. Rozmyślałem bardzo głęboko nad tajemnymi przyczynami twojej żądzy zaszczytów i zdaje mi się, iż odgadłem twoje serce. Tak, to uczucie miłości dla Francyi, które kazało mu bić w twej pierwszej młodości, musiało zacerpnąć z niego sił większych; chcesz zbliżyć się do króla, ażeby służyć swemu krajowi, aby wprowadzić w czyn owe sny złote naszych pierwszych lat. Zapewne, myśl wielka i godna ciebie! Podziwiam cię, schylam czoło! Przystęp do monarchy z rycerskiem oddaniem się naszych ojców, z sercem pełnem prostoty ducha i gotowem do wszelkich poświęceń. Otrzymywać zwierzenia jego duszy, przelewać w nią duszę jego poddanych, łagodzić zmartwienia króla, powiadamiając go o zaufaniu jego narodu względem niego, zamy-

kać rany tego narodu, otwierając jego panu i przez pośrednictwo twojej łaski przywrócić tym sposobem tę wymianę miłości między ojcem a dziećmi, która była przerwana podczas osiemnastu lat przez człowieka z sercem marmurowem; wystawić się dla tego szlachetnego przedsięwzięcia na wszystkie okropności jego zemsty, a jeszcze więcej zwalczać oszczerstwa przewrotne, ścigające ulubieńca aż na stopniach tronu, ten sen był godny ciebie. Nie ustawaj, mój przyjacielu, nie bądź nigdy zniechęcony; mów głośno królowi o zasludze i nieszczęściach jego najznakomitszych przyjaciół, których druzgocą; powiedz mu bez obawy, że jego stara szlachta nie spiskowała przeciwko niemu i że od czasu tego młodego Montmorency, aż do tego uprzejmego hrabiego de Soissons, wszyscy walczyli przeciw ministrowi, nigdy przeciw monarche; powiedz mu, że stare rody Francji powstały z jego rodem, że uderzając w nie, wstrząsa całym narodem i że, jeśli nie wytępi, jego własny ród będzie na tem cierpiał, że zostanie sam wystawiony na prąd czasu i wypadków, jak stary dąb drży i łamie się pod wiatrem równiny, gdy wyrabia las, który go otacza i podtrzymuje. — Tak — zawołał de Thou, ożywając się — ten cel jest szlachetny i piękny; idź swoją drogą niezachwianie, wypędź nawet ten wstyd potajemny, tę skromność, której szlachetna dusza doznaje, zanim odważy się pochlebiać, robić to, co świat nazywa ubieganiem się o czyjeś względy. Nieustety! królowie są przyzwyczajeni do tych słów nieustannych fałszywego uwielbienia dla nich; uważaj je za język nowy, którego trzeba się nauczyć, za język zupełnie obcy dla twoich warg do tego czasu, ale którym można mówić szlachetnie, wierzaj mi, i wyrażać piękne i szlachetne myśli.

Podczas tej płomiennej mowy swego przyjaciela Cinq-Mars nie mógł się obronić nagłemu rumieńcowi

i odwrócił swe lica do ściany namiotu, tak, aby nie być widzianym. De Thou zatrzymał się.

— Co ci jest, Henryku? nie odpowiadasz nic; czyżbym się omylił?

Cinq-Mars westchnął głęboko i milczał jeszcze.

— Czy twoje serce nie jest przejęte temi myślami, które, sądziłem, powinny były je unieść!

Ranny spojrział na swego przyjaciela z mniej-szem pomieszaniem i rzekł do niego:

— Myślałem, drogi de Thou, że nie będziesz mnie więcej badał i że chciałeś mieć we mnie ślepe zaufanie. Jakież zły duch każe ci zgłębiać moją duszę? Nie jestem obcy tym myślom, jakie tobą owładnęły. Kto ci powiedział, że ja nie uczyniłem mocnego postanowienia pchnąć je dalej w czynie, niż ty ośmielasz się zrobić to w słowach! Miłość Francji, enotliwa nienawiść dla chciwego dostojenstwa, który ją uciska i druzgocę jej odwieczne zwyczaje siekierą kata, silna wiara, że enota może być tak zdolna, jak zbrodnia, oto moje bogi, te same, co twoje. Ale gdy widzisz człowieka kłęczącego w kościele, żali go się pytasz, który święty lub który anioł wspiera i otrzymuje jego modlitwę? Co cię to obchodzi, byle się modlił u stóp ołtarzy, które ty czcisz, byle padł przy nich ofiarą w razie potrzeby? Ech! kiedy nasi ojcowie udawali się w drogę boso do Grobu Świętego, z kijem pielgrzymim w rękę, żali się ich pytano, jaki ślub tajemny prowadził ich do Ziemi Świętej? Bili się, umierali, a ludzie i może sam Bóg, nie pytali się o to więcej; pobożny wódz, który ich prowadził, nie kazał wcale zdejmować z ich ciał odzieży, aby widzieć, czy krzyż czerwony i włosienica nie ukrywały jakiego innego znaku tajemniczego, i w niebie, bezwątpienia, nie byli sądzeni z większą surowością, że wzmocnili siłę swoich postanowień na ziemi jakąś nadzieją dozwoloną chrześcijaninowi, jakąś drugą i ta-

jemną myślą, bardziej ludzką i bliższą sercu śmiertelnemu.

De Thou uśmiechnął się i zarumienił lekko, spuszczać oczy.

— Mój przyjacielu — odpowiedział z powagą — to wzruszenie może ci źle zrobić; nie mówmy już o tem; nie mieszajmy Boga i nieba do naszej rozmowy, bo to niedobrze, i okryj plecy kołdrą, bo zimno tej nocy. Przyrzekam ci — dodał, przykrywając swego młodego chorego z macierzyńską troskliwością — przyrzekam ci, że nie rozgniewam cię już swojemi radami.

— Ah! — zawołał Cinq-Mars, mimo zakazu mówienia — ja ci przysięgam na ten krzyż złoty, który widzisz, i na Maryę Najświętszą, że umrę raczej niż się wyrzeknę tego mego planu, który ty nakreśliłeś pierwszy; może będziesz kiedy zmuszony prosić mnie, abym się zatrzymał; ale nie będzie już czasu.

— Dobrze, dobrze, śpij — powtórzył radca — jeśli się nie zatrzymasz, pójdę z tobą dalej, dokądkolwiek to mnie zaprowadzi.

I wyjąwszy z kieszeni książkę z godzinkami, zaczął ją czytać uważnie; po chwili spojrzął na Cinq-Marsa, który nie spał jeszcze; dał znak starymu Grandchamp, aby przestawił lampę ze względu na wzrok chorego; ale to nowe staranie nie więcej się powiodło; chory, z otwartymi oczyma, poruszał się ciągle na swoim wazkiem pościeliu.

— No, nie uspokoiłeś się — rzekł de Thou z uśmiechem — przeczytam ci coś pobożnego, co uspokoi twój umysł. Ah! mój przyjacielu, tu jest spokój prawdziwy w tej książce pocieszycielce, gdyż otwórz ją, gdzie chcesz, a zawsze ujrzysz w niej z jednej strony człowieka w jedynym stanie, jaki przystoi jego słabości: w modlitwie i niepewności swego przeznaczenia, a z drugiej samego Boga, mówiącego mu o jego ułomnościach. Jakież wspaniałe i niebiańskie

widowisko! jaka spójnia najszczytniejsza między niebem a ziemią! życie, śmierć i wieczność są tu zawarte; otwórz ją na chybił-trafił.

— Ah! tak — odparł Cinq-Mars, podnosząc się jeszcze z żywością, która miała w sobie coś dzieciniego — proszę cię, pozwól mi ją otworzyć; czy znasz stary przesąd naszego kraju? gdy się otworzy książkę mszalną szpada, pierwsza strona, znajdująca się po lewicy, zawiera przeznaczenie tego, co ją czyta, a pierwszy wchodzący, gdy skończy, ma wpłynąć potężnie na przyszłość czytającego.

— Co za dzieciństwo! Lecz zgoda na to. Oto twoja szpada; weź ostry koniec... zobaczymy...

— Pozwól mi samemu przeczytać — rzekł Cinq-Mars, biorąc z krawędzi łózka leżącą książkę. — Stary Grandchamp przysunął poważnie swoją twarz ogorzałą i swoje siwe włosy do nogi łózka, aby słuchać. Jego pan zaczął czytanie, utknął na pierwszym zdaniu, lecz z uśmiechem nieco przymuszonym — być może — ciągnął dalej aż do końca:

I. Otóż było to w mieście Medyolanum, gdzie oni się zjawili.

II. Wielki kapłan rzekł im: Bijcie czołem i czeJCie bogów.

III. A lud stał milczący, patrząc na ich oblicza, które się wydawały jako lica aniołów.

IV. Lecz Gerwazy, biorąc rękę Protazego, zawołał, wznosząc oczy do nieba i całkiem napętniony Duchem Świętym:

V. O, mój bracie! widzę Syna człowieczego, jak się do nas uśmiecha; pozwól mi, abym umarł pierwszy.

VI. Bo gdybym zobaczył twoją krew, obawiałbym się, iżby nie przelał łez niegodnych Pana Boga naszego.

VII. Owóż Protazy odpowiedział mu temi słowami:

VIII. Mój bracie, sprawiedliwie będzie, gdy zginę po tobie, bo mam więcej lat i siły większe, aby patrzeć, jak będziesz cierpieć.

IX. Lecz senatorowie i lud zgrzytali zębami przeciwko nim.

X. A gdy żołnierze uderzyli ich mieczem, ich głowy upadły razem na ten sam kamień.

XI. Otóż w tem samym miejscu szczęśliwy Święty Ambroży znalazł dwóch męczenników, z których przywrócił wzrok jednemu niewidomemu.

— A więc — rzekł Cinq-Mars, patrząc na swego przyjaciela, gdy skończył — cóż odpowiesz na to?

— Wola Boga niechaj się stanie; ale my nie powinniśmy jej zgłębiać.

— Ani cofać się w naszych zamiarach dla dziecinnej igraszki — odparł d'Effiat z niecierpliwością, owijając się w płaszcz, rzucony na niego. Przypomnij sobie wiersze, któreśmy niegdyś powtarzali: *Justum et tenacem propositi virum...* te żelazne słowa wryły się w moją głowę. Tak, niechaj wszechświat wali się wkoło mnie, jego szczątki uniosą mnie niewzruszonego.

— Nie porównywajmy myśli człowieczych z boskimi i poddajmy się — powiedział de Thou poważnie.

— *Amen* — odezwał się stary Grandchamp, ocierając śpiesznie oczy napełnione łzami.

— Do czego ty się mieszasz, stary żołnierzu? ty płaczesz? — rzekł do niego jego pan.

— *Amen* — powiedział w drzwiach namiotu jakiś głos, mówiący przez nos.

— Dalibóg, mospanie, zwróćcie się raczej z tem zapytaniem do Szarej eminencji, co przychodzi do was — odparł wierny służący, wskazując na Józefa, który zbliżał się ze skrzyżowanemi rękoma, witając się z miną przymilającą.

— Ah! więc to będzie on! — szepnął Cinq-Mars.

— Przychodzę, być może, nie w porę? — rzekł Józef słodko.

— W samą porę, być może — odparł Henryk d'Effiat, uśmiechając się spojrzaniem do de Thou. — Co może was sprowadzać, mój ojczu, o pierwszej godzinie w nocy? Zapewne jakiś dobry uczynek?

Józef widział się źle przyjętym; a ponieważ nie szedł nigdy, nie mając w głębi duszy pięciu lub sześciu wymówek do uczynienia ludziom, których zaczepiał, i tyle środków w głowie, aby dać sobie radę, sądził tutaj, że odkryto cel jego odwiedzin, czuł, że to nie z chwili złego humoru należało korzystać dla zawiązania przyjaźni. Siadając więc dosyć chłodno blisko łóżka:

— Przychodzę — rzekł — pomówić z waćpanem w imieniu kardynała naczelnego wodza o dwóch więźniach hiszpańskich, których wzięliście do niewoli; pragnie mieć wiadomość o nich jak można najspieszniej; muszę ich widzieć i zbadać. Ale nie liczyłem, że znajdę waćpana czuwającego jeszcze; chciałem tylko otrzymać wiadomości od waszych ludzi.

Po wymianie grzeczności wymuszonych kazano wprowadzić do namiotu dwóch więźniów, o których Cinq-Mars prawie zapomniał. Jeden, młody i okazujący otwarcie wyraz twarzy żywy i nieco dziki: to był żołnierz; drugi, kryjący swoją postać pod ciemnym płaszczem, a ponure, lecz dwuznaczne w swym wyrazie rysy twarzy w cieniu kapelusza o szerokich skrzydłach, którego nie zdjął: to był oficer; przemówił sam i pierwszy:

— Dlaczego każecie mi porzucać barłóg i przerwacie mi sen? czy aby mnie uwolnić, czy też aby powiesić?

— Ni jedno, ni drugie — odparł Józef.

— Cóż ja mam wspólnego z tobą, człowieku długobrody? nie widziałem cię u wyłomu.

Trzeba było jakiegoś czasu po tym miłym wstę-

pie, aby dać zrozumieć cudzoziemcowi prawa, jakie miał kapucyn do badania go.

— A więc — rzekł w końcu — czego chcesz?

— Chcę wiedzieć twoje nazwisko i z jakiego jesteś kraju?

— Nie wymieniam swego nazwiska; a co do mego kraju, wyglądam na Hiszpana; lecz może nim nie jestem, bo Hiszpan nie jest nim nigdy.

Ojciec Józef, zwracając się do dwóch przyjaciół, powiedział:

— Mylę się bardzo, lub słyszałem gdzieś dźwięk tego głosu; ten człowiek mówi po francusku bez przy-cisku; ale zdaje mi się, że on chce zadawać nam za-gadki, jak na Wschodzie.

— Na Wschodzie? ot właśnie—rzekł więzień— Hiszpan jest człowiekiem Wschodu, to katolicki Turek; jego krew omdlewa lub kipi, jest leniwy albo nie-strudzony; gnuśność czyni go niewolnikiem, żarliwość okrutnym; nieruchomy w swej nieświadomości, zręczny w swym przesądzie, chce tylko książki religijnej, tylko pana okrutnego; posłuszny prawu stosu, rządzi prawem sztyletu, zasypia wieczorem w swojej nędzy krwawej, przetrawiając fanatyzm i marząc o zbrodni. Kto zacy jest, mościpanowie, czy Hiszpan, czy Turek? zgadnijcie. Ah! ah! macie minę, jakbyście znaleźli, że mam dowcip, gdyż spotykam się z raportem. Doprawdy, mościpanowie, robicie mi wielki zaszczyt, a jednak myśl mogła posunąć się dalej, gdyby tego chcieli; gdybym przeszedł do porządku fizycznego, na przykład, czyż nie mógłbym wam powiedzieć: Ten człowiek ma rysy surowe lub przedłużone, oko czar-ne i posiekane jak migdał, brwi grube, usta smutne i ruchome, policzki ogorzałe, chude i pomarszczone; głowa jego ogolona, i nakrywa ją chustką związaną jak turban; spędza dzień cały, leżąc lub stojąc na palącym słońcu, bez ruchu, bez słowa, paląc tytuń, który go upaja. Czy to Turek, czy Hiszpan? Czyście

zadowoleni, mościpanowie? Doprawdy, wyglądzie na nich, śmiejecie się; i z czego się śmiejecie? Ja przed-stawiłem wam tę jedyną myśl, a nie śmiałem się; patrzcie, moja twarz jest smutna. Ah! to może dla-tego, że ponury więzień stał się nagle gadatliwym, i mówi prędko? Ah! to nie; mógłbym wam powie-dzieć co innego i oddać wam jakieś usługi, moi dziel-ni przyjaciele. Gdybym się zabrał do anegdota, na-przykład, gdybym wam powiedział, że znam kapłana, który skazał na śmierć kilku kacerzy przed odpra-wieniem mszy, i rozsierdzony, że mu przerwano przy-oltarzu podczas świętej ofiary, wołał do tych, co go zapytywali o rozkazy: Zabijajcie wszystkich! zabijaj-cie wszystkich! czybyście się bardzo śmieli wszyscy, mościpanowie? Nie, nie wszyscy. Ten oto jegomość, na-przykład, gryzłby swoje wargi i brodę. Oh! to prawda, że mógłby odpowiedzieć, iż uczynił rozumnie, i że źle uczyniono, przerywając jego czystą modlitwę. Lecz gdybym dodał, że stał ukryty przez godzinę za płótnem twojego namiotu, mościpanie de Cinq-Mars, aby słuchać, co mówisz, i że przybył, aby dokonać względem ciebie jakiejś zdrady, a nie dla mnie, cóż-by on powiedział? Teraz, mościpanowie, czyście za-dowoleni? Mogę odejść po tym popisie?

Więzień wypowiedział to wszystko z szybkością szarlatana i tak głośno, że Józef został tem zupełnie oszołomiony. Podniósł się w końcu oburzony i zwracając się do Cinq-Marsa:

— Jak waćpan możesz ścierpieć — rzekł do niego — aby więzień, który miał być powieszony, od-zywał się tak do was?

Hiszpan, nie racząc zajmować się nim więcej, nachylił się nad Henrykiem i powiedział mu na ucho:

— Nie zależy ci na mnie wcale, daj mi wol-ność, już mogłem z niej skorzystać, lecz nie chcia-

łem bez twojej zgody; daj mi ją, albo każ mnie zabić.

— Uchodź, jeśli możesz — odpowiedział mu Cinq-Mars — przysięgam ci, że będę się z tego bardzo cieszył.

I kazał powiedzieć swoim ludziom, aby odeszli z żołnierzem, którego chciał zatrzymać na swoje usługi. Trwało to jedną chwilę; w namiocie zostali tylko dwaj przyjaciele: ojciec Józef, zmieszany, i Hiszpan, gdy ten, zdejmując swój kapelusz, odstąpił twarz francuską, lecz dziką: śmiał się i zdawał pochłaniać więcej powietrza w swoją szeroką pierś.

— Tak, jestem Francuzem — rzekł do Józefa — lecz nienawidzę Francyi, bo w niej ujrzał światło dzienne mój ojciec, który jest potworem, i ja, co się nim stałem, i przeciw niej walczyłem; nienawidzę jej mieszkańców, gdyż ukradli mi cały majątek w grze, i odtąd ja okradałem ich i zabijałem; byłem dwa lata Hiszpanem, aby wyprawić na tamten świat więcej Francuzów; ale teraz nienawidzę jeszcze więcej Hiszpanię; nie dowiedzą się nigdy, dlaczego? Żegnajcie, będę żył odtąd bez narodowości; wszyscy ludzie są moimi wrogami. Idź dalej, Józefie, a będziesz wkrótce wart mnie. Tak, widziałeś mnie kiedyś — ciągnął, chwytając go gwałtownie za piersi i przewracając... jestem Jakób de Laubardemont, syn godnego twego przyjaciela.

Przy tych słowach, wychodząc nagle z namiotu, znikł jak zjawisko. De Thou i lokaje, podbiegłszy do wejścia, zobaczyli, jak przeskoczył w dwóch susach nad głową zdumionego i bezbronnego żołnierza, i pobiegł ku górom z szybkością jelenia, chociaż strzelało do niego z muszkietu. Józef skorzystał z zamieszania, aby się wymknąć, bąkając kilka słów ugrzeźnionych, i zostawił dwóch przyjaciół śmiejących się z jego przygody i zawodu, jak dwóch uczniów śmiałoby się na widok okularów spadających z nosa swe-

go pedagoga; poczem obaj się położyli i wkrótce zasnęli: ranny na swoim łóżku, a młody radca w fotelu.

Co do kapucyna, ten podążył ku swemu namiotowi, rozmyślając, jaką wyciągnie korzyść z tego wszystkiego dla lepszej możebnej zemsty, gdy spotkał Laubardemonta, ciągnącego za związane ręce młodą obłąkaną. Opowiedzieli sobie swoje wzajemne i okropne przygody. Józef z niemąłą przyjemnością obrócił sztylet w ranie jego serca, powiadamiając go o losie jego syna.

— Nie jesteście bardzo szczęśliwi w swoich stosunkach rodzinnych — dodał. — Radzę wam kazać zamknąć waszą siostrzenicę i powiesić waszego spadkobiercę, jeśli go szczęśliwym trafem odnajdziecie.

Laubardemont śmiał się przeraźliwie i rzekł:

— Co do tej małej waryatki, którą widzicie, oddam ją byłemu sędziemu tajemnemu, obecnie przemysłnikowi w Pireneach, w Oloron; zrobi z niej, co będzie chciał, służącą w swojej „posadzie” ¹⁾ naprzykład; mało się troszcę o to, byle jaśnie oświecony pan nie mógł o niej słyszeć.

Joanna de Belfiel z opuszczoną głową nie dała żadnego znaku pojętności; wszelki przebłysk rozumu w niej zagasł, jeden wyraz pozostał jej na ustach, wymawiała go ciągle:

— Sędzia, sędzia, sędzia! — mówiła pocichu i umilkła.

Laubardemont wsadził ją oniemal jak worek zboża na jednego z koni, przyprowadzonych przez dwóch służących. Sędzia wsiadł na drugiego i szykował się do drogi, chcąc wyjechać z obozu przed dniem.

¹⁾ Posada—chata, zagroda.

— Szczęśliwej podróży! — rzekł do Józefa. — Przeprowadźcie dobrze swoje sprawy w Paryżu; polecam wam Oresta i Pylada.

— Szczęśliwej podróży — rzekł ten. — Polecam wam Kassandrę i Edypa.

— Oh! ten nie zabił swego ojca i nie zaślubił swojej matki...

— Lecz jest na dobrej drodze do tych ładnych rzeczy.

— Żegnaj, mój wielebny ojcze!

— Żegnaj, mój czcigodny przyjacielu! — zawołała głośno.

A pocichu dodali:

— Żegnaj, morderco w szarej sukni, znajdę posłuch u kardynała podczas twojej nieobecności.

— Żegnaj, złoczyńco w czerwonej sukni, idź tępić samego siebie w swojej przeklętej rodzinie; dokończ rozlew swojej krwi w innych, co zostanie z niej w tobie, tem ja się zajmę... Teraz jadę. Oto noc dobrze użyta!

CZEŚĆ DRUGA.

ROZDZIAŁ XIV.

ROZRUCH.

Niebezpieczeństwo Najjaśniejszy Panie, jest naglące i ponad wszelkie rachuby mądrości ludzkiej.

Mirabeau, „Adres do króla.”

„Niechaj z szybkością, równą szybkości myśli, scena leci na skrzydłach wyobraźni — woła nieśmiertelny Szekspir z chórem jednej ze swoich tragedyj. — Przedstawcie sobie króla na oceanie na czele pięknej floty, patrzcie na niego, idźcie za nim.”

Tym poetycznym ruchem przebiega on czas i przestrzeń i przenosi według swojej woli uważne grono do miejsc swoich najwspanialszych scen.

Użyjemy tych samych praw, choć nie mamy tego samego geniuszu, nie chcemy zasiadać dłużej, niż on, na trójnogu jedności i, rzucając okiem na Paryż i na stary i czarny pałac Luwru, przebędziemy nagle przestrzeń dwustu mil i czas dwóch lat.

Dwa lata! Ileż zmian mogą one przynieść na czoło ludzi, w ich rodzinach, a zwłaszcza w tej wielkiej, tak niespokojnej rodzinie narodów, których jeden dzień łamie przymierza, których jedno narodzenie nśmierza wojny, których jedna śmierz burzy pokój! Nasze oczy widziały królów, powracających do swojej siedziby pewnego dnia wiosennego; tego samego dnia jeden okręt udał się w dwuletnią drogę morską; żeglarz powrócił, oni siedzieli na swym tronie, nie zdawało się, aby cośkolwiek zaszło pod jego nieobecność, a jednak Bóg odjął im sto dni panowania.

Lecz nie się nie zmieniło we Francyi 1642 roku, w epoce, do której przechodzimy, chyba tylko jej obawy i nadzieje. Jedna przyszłość odmieniła postać. Zanim ujrzymy znów swoich znajomych, musimy koniecznie przyrzec się, jaki był ogólny stan królestwa.

Potężna jedność monarchii była okazalsza jeszcze z powodu nieszczęść państw sąsiednich; powstania w Anglii, Hiszpanii i Portugalii kazały zachwycać się tembardziej spokojem, jakim cieszyła się Francya; Strafford i Olivarès, obaleni lub zachwiani, czynili jeszcze większym niewzruszonego Richelieu'go.

Sześć groźnych armij, spoczywających na zwyciężkim swym orężu, służyło za szańce królestwa; wojska północne, sprzymierzone ze Szwecyą, zmusiły do ucieczki Cesarских, prześladowanych jeszcze przez cień Gustawa Adolfa; tak zwane wojska włoskie otrzymały w Piemontie klucze miast, bronionych przez księcia Tomasza, te zaś, co podwajały łańcuch Pirenejów, podtrzymywały zbuntowaną Katalonię i stały jeszcze przed Perpignanem, którego nie pozwalano im wziąć. Kraj nie był szczęśliwy, lecz spokojny. Jakiś niewidzialny geniusz zdawał się utrzymywać ten spokój, gdyż król, śmiertelnie chory, dogorywał w Saint-Germain przy młodym ulubieńcu, a kardynał, po wiadom, konał w Narbonne. Kilka śmierci jednak zdradzało jego życie i od czasu do czasu ludzie pa-

dali, jak rażeni zatrutym oddechem, i przypominali o potędze niewidzialnej.

Saint-Preuil, jeden z wrogów Richelieugo, poniósł swą „głowę żelazną” ¹⁾ na rusztowanie bez wstydu, ni trwogi, jak to powiedział, wstępując na nie.

Tymczasem Francya zdawała się rządzić sama sobą, gdyż panujący i minister byli w niezgodzie od dawna i, z tych dwóch chorych, co się nienawidzili wzajemnie, jeden nie trzymał nigdy steru swego państwa, drugi nie dawał już odczuwać swojej ręki, nie wymieniano go w aktach publicznych, nie ukazywał się już w rządzie, znikał wszędzie, spał, jak pajak, pośród swojej sieci.

Jeżeli zaszły jakie wypadki i rewolucye podczas tych dwóch lat, to z pewnością tylko w sercach; musiały to być owe zmiany ukryte, z których się rodzą w monarchiach bez podstawy straszliwe przewroty, oraz długie i krwawe rozterki.

Dla lepszego objaśnienia wnieśmy nasze oczy na starą i czarną budowlę niedokończonego Luwru i postuchajmy rozmów tych, co go zamieszkują i otaczają.

Było to w miesiącu grudniu; tęga zima zasmuciła Paryż, gdzie nędza i niepokój ludu były największe, jednak jego ciekawość dodawała mu jeszcze bodźca i żądny był widowisk, jakie mu dawał dwór. Jego bieda była dla niego mniej uciążliwa, gdy przypatrywał się poruszeniom bogactwa, jego łzy mniej gorzkie na widok walk potęgi, a krew wielkich, co zraszała jego ulice i zdawała się wtedy jedyną godną przelania, kazała mu błogostawić jego ciemnotę. Już kilka scen burzliwych, kilka jaskrawych morderstw kazało odczuć osłabienie monarchy, nieobecność i blizki koniec ministra i niby rodzaj prologu do krwawej

¹⁾ Ta nazwa została mu dana za jego mężstwo i charakter zbyt silny, co było jego jedyną zbrodnią.

komedyi Frondy, zaczynało zaostrzać złośliwość, a nawet zapalać namiętność paryżan. Ten nieporządek nie podobał im się; obojętni względem przyczyn kłótni, bardzo trudnych do pojęcia dla nich, nie byli takimi wcale dla jednostek i zaczęli już okazywać przewodcom stronnictw szczególne upodobanie lub nienawiść, nie z powodu przypisywanej im troskliwości o dobrobyt swego stanu, lecz pro prostu dlatego, że się podobałi lub niepodobałi jako aktorzy.

Jednej nocy nade wszystko wystrzały pistoletowe i karabinowe często słyszane były w mieście: liczne patrole Szwajcarów i gwardyi przybocznej zostały nawet napadnięte i napotkały jakieś barykady w krętych ulicach wyspy Najświętszej Maryi Panny; wozy, przywiązane łańcuchami do kopców i wypełnione beczkami, przeszkodziły jeźdźcom posunąć się dalej, a kilka wystrzałów muszkietowych raniło konie i ludzi. Jednakże miasto spało jeszcze, wyjąwszy dzielnicę, która otaczała Luwr, zamieszkany w owej chwili przez królowę i brata królewskiego, księcia orleańskiego. Tam wszystko zwiastowało wyprawę nową, bardzo poważnej natury.

Była druga godzina nad ranem, brał mróz i ciemność była gęsta, gdy liczne zbiegowisko zatrzymało się na ulicy nadbrzeżnej, mało zabrukowanej wtedy, i zajęło powoli i stopniowo piaszczysty teren, schodzący po pochyłości do Sekwany. Dwustu ludzi blisko zdawało się tworzyć to zbiegowisko; byli oni owinięci w wielkie płaszcze, podniesione przez pochwy długich szpad, noszonych po hiszpańsku. Przechadzając się bez ładu, wzdłuż i wszerz, zdawali się czekać raczej na wypadki, niż ich poszukiwać. Wielu z nich usiadło ze skrzyżowanemi rękoma na rozrzuconych kamieniach w największym milczeniu. Po kilku minutach jednak jakiś człowiek, który, zdawało się, wyszedł z pod łukowatego sklepienia bramy Luwru, zbliżył się wolno ze ślepią latarnią, kierując jej pro-

mienie na twarz każdego indywiduum, poczem ją zgasił, rozpoznawszy tego, kogo szukał, i przemówił do niego w ten sposób, półgłosem, ściskając mu rękę:

— I cóż, Oliwierze, co ci powiedział imci pan le Grand? ¹⁾ Dobrze idzie?

— Doskonale. Widziałem się z nim wczoraj w Saint-Germain; stary kot jest bardzo chory w Narbonne, szykuje się *ad patres*; ale trzeba prowadzić nasze sprawy gładko, gdyż to nie po raz pierwszy udaje on odretwiąłego, Czy widziałeś ludzi na dzisiejszy wieczór, mój drogi Fontrailles?

— Bądźcie spokojni, Montrésor ma nadejść z setką szlachty brata królewskiego; poznacie go, będzie przebrany za majstra mularskiego, z liniałem w rękę. Ale nie zapomnijcie wyrazów hasła, czy znacie je dobrze, wszyscy, wy i wasi przyjaciele?

— Tak, wszystkie, wyjąwszy księdza de Gondi, który nie przybył jeszcze; lecz odpuść mi Boże, zdaje mi się, że to on. Któż u dyabła byłby go poznał?

Wistocie, mały człowiek bez sutanny, przebrany za francuskiego gwardzistę, z czarnemi przyrównanymi wąsami wślizgnął się pomiędzy nich. Przeskakiwał z nogi na nogę z radosną miną i zacierał ręce.

— Na Boga żywego! wszystko idzie dobrze; mój przyjaciel Fiesque nie robił lepiej!

I stając na palcach, aby poklepać Oliwierę po rzmieniu, dodał:

— Czy wiecie, że jak na człowieka, który wychodzi prawie z paziów, nie sprawiacie się źle, mości Oliwierze d'Entraignes? Znajdziecie się między naszymi sławnymi ludźmi, jeśli będziemy mieli jakiego Plutarcha. Wszystko dobrze urządzone, przybywacie

¹⁾ Nazywano tak w skróceniu wielkiego koniuszego Cinq-Marsa. Ta nazwa powtórzy się często w ciągu opowiadania.

w sam raz, ani wcześniej, ani później, jak prawdziwy przywódca stronnictwa. Fontrailles, ten młodzieniec zajdzie daleko, ja wam to przepowiadam. Lecz śpiesz się, przybędą nam za dwie godziny parafianie mojego wuja, arcybiskupa paryzkiego; podburzyłem ich dobrze i będą wołali, jak wściekli: „Niech żyje brat królewski! niech żyje Regencya, precz z kardynałem!” To moje poczciwe dewotki nabiły im tem głowę. Król czuje się bardzo źle. Oh! wszystko idzie dobrze, bardzo dobrze. Przebywam z Saint-Germain; widziałem naszego przyjaciela, Cinq-Marsa; jaki on dobry, a zawsze mocny, jak skała. Ach, to mężczyzna, co się zowie! Jak on wyprowadził ich w pole swą miną melancholiczną i niedbałą! On jest panem dworu teraz. Klamka zapadła, król ma podobno mianować go księciem i parem; poruszono właśnie tę sprawę, ale się waha jeszcze, musimy go skłonić do tego dzisiejszą naszą ruchawką: „życzenie ludu!” trzeba koniecznie wyrazić „życzenie ludu,” my damy je słyszeć. To będzie śmierć Richeliugo, czy wiecie? Nadewszystko, nienawiść do niego powinna górować w krzykach, bo to rzecz główna. To skłoni w końcu naszego Gastona, który chwieje się ciągle, nieprawdaż?

— Eh, cóż on może innego zrobić?—rzekł Fontrailles.—Gdyby powziął dziś postanowienie na naszą korzyść, byłoby to bardzo smutne.

— Dlaczego?

— Dlatego, że bylibyśmy aż nadto pewni, iż jutro, w dzień, byłby przeciwko nam.

— Mniejsza z tem, królowa ma głowę!—odparł ksiądz.

— I serce także — rzekł Oliwier; — to mi daje nadzieję dla Cinq-Marsa, bo mi się zdaje, że śmiał dąsać się czasami, patrząc na nią.

— Jakież z was dziecko, jakże źle jeszcze znacie serce! Nic nie może go podtrzymać, jeno ręka

króla, który kocha go, jak swego syna, a co do królowej, jeśli jego serce bije, to rzecz wspomnienia, nie zaś przyszłości. Lecz tu nie chodzi o te głupstwa; powiedz mi, mój kochany, czy jesteś zupełnie pewny swego młodego obrońcy, który wałęsa się tam, widzę? Czy on dobrze myśli?

— Doskonale, to wyborny rojalista, wrzuciłby kardynała do rzeki każdej chwili, zresztą to jest Fournier z Loudunu, to wystarczy.

— Dobrze, dobrze; oto jak ich kochamy. Ale baczność, moi panowie, ktoś nadchodzi z ulicy Św. Honorjusza.

— Kto idzie? — zawołali pierwsi ze zgromadzenia do przybywających. — Rojaliści, czy kardynaliści?

— „Gaston i le Grand!”—odpowiedzieli pocichu nowoprzybyli.

— To Montrésor z ludźmi brata królewskiego—rzekł Fontrailles.—Będziemy mogli niezadługo zacząć.

— Tak, do krośset!—powiedział przybywający—bo kardynaliści nadejdą za trzy godziny, przed chwilą właśnie uwiadomiono nas o tem.

— Dokąd oni idą?—zapytał Fontrailles.

— Jest ich przeszło dwustu i prowadzą imci pana de Chavigny, który podobno ma się widzieć ze starym kotem w Narbonne; myśleli, że będzie bezpieczniej przejść koło Luwru.

— No, to my ich pogłaskamy!—rzekł ksiądz.

Właśnie kończył, gdy turkot karet i tentent koni dał się słyszeć. Kilkudziesięciu mężczyzn w płaszczach toczyło ogromny kamień środkiem ulicy. Pierwsi jeźdźcy przejechali szybko poprzez tłum i z pistoletami w rękę, domyślając się czegoś, ale poczyliion, kierujący końmi pierwszego pojazdu, zawadził o kamień i spadł z kozła.

— Cóż to za karoca, co najeżdża przechodniów? — zawołali jednocześnie wszyscy mężczyźni

w płaszczech.—To bardzo po tyrańsku. To z pewnością jakiś przyjaciel kardynała Roszelli ¹⁾.

— To ktoś, co nie boi się przyjaciół małego le Grand! — odparł jakiś człowiek, otwierając drzwiczki i wyskakując z karocy.

— Wrzucicie tych kardynałów do rzek! — zawołał jakiś głos cierpki i ostry.

To było hasło wystrzałów pistoletowych, które mi poczęstowano się wzajemnie ze wszystkich stron, udzielając zarazem nieco światła tej ponurej i hałaśliwej scenie; szcęk szpad i tupotanie koni nie przeszkodziły rozpoznać okrzyków z jednej strony: „Precz z ministrem! niech żyje król! niech żyje brat królewski i imci pan le Grand! precz z czerwonymi pończochami!” Z drugiej: „Niech żyje jego przewielebność. niech żyje wielki kardynał! śmierć buntownikom! niech żyje król!” gdyż imię króla przewodniczyło wszystkim nienawiściom, jak wszelkim czułościom w owej dziwnej epoce.

Jednakże piesi zdołali umieścić dwie karocę w poprzek ulicy nadbrzeżnej w ten sposób, że zrobili sobie z nich szaniec przeciwko koniom Chavigny'ego i ztamtąd poprzez koła, drzwiczki i resory ranili je wystrzałami pistoletowymi i z wielu pozrucali jeźdźców. Zgiełk był okropny, gdy bramy Luwru otworzyły się nagle i dwa szwadrony przybocznej gwardyi wyjechały kłusem; większa część miała pochodnie w rękę, aby widzieć tych, na których miano natrzeć. Scena się zmieniła. W miarę, jak gwardziści zbliżali się do którego z pieszych, ten przystawał, zdejmował swój kapelusz, dawał się poznać i wymieniał swoje nazwisko, poczem gwardzista się oddalał, niekiedy kła-

¹⁾ W czasie długiego oblężenia tego miasta nadano to nazwisko imci panu de Richelieu, aby ośmieszyć go zato, że uparł się przy dowództwie naczelnem i sobie przypisywał zasługę wzięcia Roszelli.

niając się, albo też ściskając mu rękę. Ta pomoc dla karet Chavigny'ego była prawie bezużyteczna i przyczyniła się tylko do powiększenia zamieszania. Gwardya przyboczna, jakby dlatego, aby sobie nie mieć nie do wyrzucenia, przebiegła tłum walczących, mówiąc miękko:

— No, mości panowie, trochę umiarkowania!

Ale gdy dwóch szlachciców dobrze „rozruszyło żelazo” i wpadło w zajadłość, gwardzista, który ich widział, zatrzymywał się, aby ocenić uderzenia i czasami nawet sprzyjał temu, o którym sądził, że jest jego zdania, bo ta gwardya, jak cała Francya, miała swych rojalistów i kardynalistów.

Okna Luwru oświetlały się powoli i było tam widać wiele głów kobiecych, przypatrujących się bacznie walce z po za szyb czworobocznych.

Liczne patrole szwajcarskie wystąpiły z pochodniami; odróżniano tych żołnierzy po ich dziwnym stroju. Mieli oni z prawej strony rękaw w czerwone i niebieskie paski i czerwoną jedwabną pończochę na nodze, gdy ich lewy rękaw był w paski niebieskie, czerwone i białe, a pończocha biała i czerwona. Spodziewano się bezwątpienia w zamku królewskim, że to wojsko cudzoziemskie będzie mogło rozproszyć zgromadzenie; lecz się omylono. Ci obojętni żołnierze, spełniając zimno i dokładnie otrzymane rozkazy, tak, aby nie przekroczyć ich zakresu, krażyli zgodnie pomiędzy uzbrojonymi oddziałami, które rozdzielali na chwilę, złączyli się przed krata z wyborna dokładnością i wrócili w porządku, jak z manewrów, nie dowiadując się, czy nieprzyjaciele, pośród których przeszli, spotkali się znów, czy nie.

Ale zgiełk, na chwilę uciszony, stał się ogólnym z powodu wyjaśnień szczegółowych. Słychać było wszędzie nawoływania, wymysły i złorzeczenia; nie zdawało się, aby coś mogło zmusić do zaprzestania tej walki, chyba tylko rozbięcie jednego z dwóch

stronnictw, kiedy krzyki, albo raczej wycia okropne, dopełniły miary zgiełku. Ksiądz de Gondi, zajęty właśnie ciągnięciem za płaszcz jeźdźca, którego chciał rzucić z konia, zawołał:

— Oto moi ludzie! Fontrailles, zobaczysz piękne rzeczy; patrz, patrz jak to biegnie! to śliczne, doprawdy!

I wypuścił zdobycz i wszedł na kamień, ażeby się przyjrzeć ruchom swych oddziałów, skrzyżowawszy ręce z powagą generała armii. Zaczęło świtać i ujrzano, że z końca wyspy Świętego Ludwika nadbiegł w samej rzeczy tłum mężczyzny, kobiet i dzieci z motłochu, podnosząc ku niebu i w stronę Luvru nadzwyczajne wrzaski. Dziewczyny niosły długie szpady, dzieci wlokły niezmierne halabardy i piki demeszkowane z czasów Ligi; staruszki w łachmanach ciągnęły za sobą na sznurach wózki pełne starożytnej broni, zardzewiałej i połamanej; robotnicy wszelkich rzemiosł, pijani przeważnie, szli za nimi z kijami, widłami, lancami, łopatami, pochodniami, kołami, hakami, drągami, szablami i ostrymi różnami; śpiewali i wyli naprzemian, naśladując z okropnym śmiechem miauczenie kota i niosąc, jak sztandar, jedno z tych zwierząt powieszzone na końcu żerdzi i owinięte w czerwony łachman, wyobrażając w ten sposób kardynała, którego zamiłowanie do kotów ogólnie było znane. Krzykacze uliczni, zacerwienieni i zzielenieni, rozrzucali po rynsztokach i bruku, i przylepiali na przedpiersieniach, rogach i murach domów i samego pałacu długie wierszowane satyry, ułożone na współczesne osoby; czeladnicy rzeźnicy i flisy, z szerokimi kordelasami, bijąc w kotły, wlekli po błocie wierzba świeżo zarżniętego, ubranego w czerwony biret dziecka z chóru. Inni, ubrani po kobiecemu i umalowani prostą czerwoną farbą z cynobru, krzyczeli wściekłym głosem: „My jesteście nieszczęśliwe matki, przywiedźcie do nędzy przez Richelieugo, śmierć

kardynałowi!” Niesli oni na rękach niemowlęta ze słomy, udając, że je wrzucają do rzeki i które wrzucali tam istotnie.

Kiedy ta wstrętna ciżba zalała ulice nadbrzeżne swojemi tysiącami piekielnych postaci uczyniła dziwne wrażenie na współwalczących i całkiem przeciwnie temu, czego spodziewał się jej orędownik. Nieprzyjaciele z każdego stronnictwa zniżyli swoją broń i rozdzielili się.

Stronnicy brata królewskiego i Cinq-Marsa byli oburzeni, widząc się posiłkowanymi przez takie wojska, i pomogli sami szlachcie kardynała wsiąść na koń i do pojazdów, podczas gdy ich służba przenosiła tam rannych, poczem nazaczyli spotkania osobiste swoim przeciwnikom dla załatwienia swego sporu w miejscu bardziej ukrytem i przystojniejszym dla nich. Wstydząc się przeważającej liczby i ohydnych band, któremi zdawali się dowodzić, przewidując, być może, po raz pierwszy opłakane następstwa swojej gry politycznej i widząc, jakie poruszili błoto, rozszli się, nasuwając swoje szerokie kapelusze na oczy, zarzucając swoje płaszcze na ramiona i uciekając przedniem.

— Zepsułeś wszystko, mój drogi księżu, przez ten motłoch — rzekł tupnawszy nogą Fontrailles do Gondiego, który stał jak w osłupieniu; — twój pocziwiec wuj ma ładnych parafian!

— To nie moja wina — odparł jednakże Gondi opryskliwie; — wszystko dlatego, że ci idyoci przybyli o godzinę zapóźno; gdyby przyszli w nocy, toby ich nie widziano, co im trochę szkodzi, prawdę mówiąc (bo przyznaję, że jasny dzień nie robi im dobrze), i słyszanoby tylko głos ludu: *Vox populi, vox Dei*. Zresztą, niema tu wiele złego, bo właśnie dzięki temu tłumowi, możemy wymknąć się niepostrzeżenie i nasze zadanie będzie skończone. Nie pragnęliśmy śmierci grzesznika: Chavigny i jego stronnicy są to

dzielni ludzie i lubię ich bardzo; jeśli jest tylko trochę raniony, tem ci lepiej. Żegnajcie, idę zobaczyć się z imci panem de Bouillon, który przybywa z Włoch.

— Oliwierze—powiedział Fontrailles—jedź więc do Saint Germain z Fournierem i Ambrozym; ja zdam sprawę bratu królewskiemu z Montrésorem.

Wszystko się rozdzieliło i odraza dokonana na tych ludziach dobrze wychowanych tego, czego nie mogła zrobić siła.

I tak skończyło się to niespodziane starcie, które, zdawało się, mogło spowodować wielkie nieszczęście; nikt nie został zabity; jeźdźcy, z kilku kresami więcej, a niektórzy ogołoceni ze swoich kies, ku swemu wielkiemu zdziwieniu, puścili się w dalszą drogę, towarzysząc karetom bocznymi ulicami; inni wymknęli się, jeden za drugim, poprzez motłoch, który podburzyli. Tłum, pozbawiony swoich przewodców, jeszcze przez dwie godziny podnosił te same krzyki, aż wytrzeźwiał, a zimno zgasiło zarazem ogień jego krwi i zapału. Widać było w oknach domów nadbrzeżnej ulicy miasta i wzdłuż murów rozsądny i prawdziwy lud Paryża, patrzący ze smutną miną i w ponurem milczeniu na te zapowiedzi rozprężenia, podczas gdy zgromadzenie kupców, w czarnych strojach, poprzedzone przez swych ławników i starszych gildyi, podażyło, wolno i odważnie poprzez gmin ku pałacowi Sprawiedliwości, gdzie miał się zebrać parlament, ażeby mu zanieść skargę z powodu tych okropnych scen nocnych.

Tymczasem na pokojach Gastona Orleańskiego panowało niezwykle ożywienie; zajmował on skrzydło Luwru, równoległe z Tuilerami i wychodzące z jednej strony na dziedziniec, a z drugiej na szereg domków i wąskich uliczek. Księżę zerwał się na równe nogi, obudzony ze snu przez odgłos palnej broni, wsunął swoje nogi w szerokie pantofle ze ściętymi nosami

na wysokich obcasach i owinięty w obszerny szlafrok jedwabny, ze złotym deseniem, wypukło haftowanym, przechadzał się wzdłuż i wszerz po swej sypialni, posyłając co raz to innego lokaja, aby się dowiedzieć, co zaszło, i wołając, ażeby sprowadzono czemprędeż księdza de La Rivière, jego zwykłego doradcę; ale na nieszczęście nie było go w Paryżu. Za każdym wystrzałem pistoletowym bojaźliwy ten księżę biegł do okien, chociaż nie było z nich nic widać, prócz światła pochodni; napróżno mówiono mu, że krzyki, które słyszał, były na jego korzyść — nie przestawał przechadzać się po swych komnatach, w największym pomieszaniu, z potarganymi długimi czarnymi włosami i z otwartymi szeroko wskutek niepokoju i przerażenia niebieskimi oczyma; był nawpół nagi, gdy Montrésor i Fontrailles przybyli w końcu i zastali go bijącego się w piersi i powtarzającego tysiąc razy: *Mea culpa, mea culpa*.

— Ach, przybywajcie! — zawołał, biegnąc naprzeciw nim; przybywajcież wreszcie! co się dzieje? co tam robią? cóż to są za mordercy? cóż to są za krzyki?

— Wołają: Niech żyje brat królewski!

Gaston, nie zdając się słyszeć i trzymając przez chwilę drzwi od swej komnaty otwarte, aby głos jego dosięgnął galeryi, gdzie byli jego domownicy, nie przestawał krzyczeć z całej siły:

— Ja nie wiem nic o tem i do niczego nie upoważniałem; nie chcę o niczem słyszeć, nie chcę nic widzieć; nie przystąpię nigdy do żadnego zamiaru; to buntownicy robią ten cały hałas; nie mówcie mi o nim, jeśli chcecie być tu dobrze widziani; nie jestem nieprzyjacielem niczyim, nie cierpię takich scen...

Fontrailles, wiedząc, z jakim człowiekiem ma do czynienia, nie odrzekł nic, ażeby brat królewski miał czas ochłonać; a gdy wszystko zostało wypowiedziane i drzwi starannie zamknięto, zabrał głos:

— Jaśnie oświecony panie — powiedział — przychodzimy prosić was o przebaczenie za grubiaństwo tego ludu, który nie przestaje wołać, że chce śmierci waszego wroga i że chciałby nawet, abyście zostali regentem, gdyby dotknęło nas nieszczęście przez śmierć jego królewskiej mości; tak, lud jest zawsze swobodny w swoich wyrażeniach; lecz był tak liczny, że wszelkie nasze usiłowania nie mogły go powstrzymać; był to krzyk serca w całej swojej prawdzie; był to wybuch miłości, którego zimny rozum nie mógł pohamować?

— Lecz w końcu co się stało? — odparł Gaston, trochę uspokojony; cóż oni robią? od czterech godzin słyszę te wrzaski!

— Ta miłość — ciągnął zimno Montrésor — jak to imć pan de Fontrailles miał zaszczyt wam powiedzieć, odstąpiła tak dalece od zasad i granic, że pociągnęła nas samych i uczuliśmy się przejęci tym zapalem, co unosi nas zawsze na samo imię brata królewskiego, i właśnie ten zapal nasunął nam rzeczy, jakich nie przewidywaliśmy.

— Lecz w końcu cóżeście zrobili? — zapytał książę.

— Te rzeczy — odparł Fontrailles — o których imć pan de Montrésor ma zaszczyt mówić bratu królewskiemu, są właśnie z tych, które przewidywałem tu nawet wczoraj wieczorem, gdy miałem zaszczyt z nim rozmawiać.

— Nie o to chodzi — przerwał Gaston — nie będziecie mogli powiedzieć, że cośkolwiek rozkazałem lub na coś pozwoliłem; nie mieszam się do niczego, nie znam się wcale na rządzie...

— Zgadzam się na to — mówił dalej Fontrailles — że wasza książęca mość nie wydała żadnego rozkazu, lecz pozwoliła mi powiedzieć: Przewiduję, miłościwy panie, że ta noc będzie niespokojna; dlate-

go miałem nadzieję, że wasza książęca mość nie zdziwi się tak bardzo.

Gaston przyszedł powoli do siebie, widząc, że nie przestrasza dwóch zapaśników; miał wresztą na swoim sumieniu i czytał w ich oczach wspomnienie zezwolenia, które dał im dnia poprzedniego, usiadł tedy na krawędzi swego łóżka, skrzyżował ręce, i patrząc na nich z miną sędziego, rzekł jeszcze nakazującym głosem:

— Lecz w końcu cóżeście zrobili?

— Eh! prawie nic, jaśnie oświecony panie — odparł Fontrailles — przypadek sprawił, że spotkaliśmy w tłumie kilku przyjaciół, którzy mieli zwadę z woźnicą imcipana de Chavigny zato, że ich najechał, z czego wynikło kilka przemówień... nieco żywych, kilka małych uderzeń... nieco gwałtownych, kilka zadraśnięć, co zmusiło do zawrócenia kareocy z drogi, i oto wszystko.

— I oto wszystko — powtórzył Montrésor.

— Jako wszystko? — zawołał Gaston bardzo wzruszony i skacząc po komnacie — a nie jesteście nie zatrzymać powóz przyjaciela księcia-kardynała? Nie lubię żadnych scen, mówiłem już wam o tem; nie nienawidzę bynajmniej kardynała, to wielki polityk, z pewnością, bardzo wielki polityk; narażacie mnie okropnie; wiedzą, że Montrésor należy do mnie; jeśli go poznano, powiedzą, że to ja go wysłałem.

— Przypadek — odparł Montrésor — podsunął mi to ludowe ubranie, które wasza książęca mość widzi pod moim płaszczem, i z tego powodu przełożyłem je nad każde inne.

Gaston odetchnął.

— Czy jesteś zupełnie pewny, że cię nie poznano? — rzekł — bo czujesz, mój drogi przyjacielu, jakby to było przykre... sam zgodzisz się na to...

— Czy jestem tego pewny, o Boże! — zawołał

dworzanin księcia — założyłbym się o swoją głowę i swój kącik w raju, że nikt nie widział moich ryśów i nie zawołał na mnie po imieniu.

— A więc—ciągnął Gaston, siadając znów na swem łóżku i przybierając spokojniejszy wyraz twarzy, a nawet z widocznym na niej lekkim zadowoleniem—opowiedzcież mi potrochu co się stało.

Fontrailles podjął się opowiadania, w którym, jak można się tego domyślać, lud grał wielką rolę, a dworzanie brata królewskiego żadnej, i na zakończenie dodał, wchodząc w szczegóły:

— Można było widzieć z waszych okien nawet, jaśnie oświecony panie, czcigodne matki rodzin, jak powodowane rozpaczą, wrzucały swoje dzieci do Sekwany, złorzecząc Richelieumu.

— Ah! to okropnel — zawołał książę oburzony lub udający, że jest nim i wierzy tym gwałtom. — Więc to rzeczywiście prawda, że jest nienawidzony tak ogólnie? Ale trzeba przyznać, że zasłużył na to! Co! więc do tego doprowadziła jego żądza zaszczytów i jego skąpstwo tych pocziwych mieszkańców Paryża, których tak kocham!

— Tak, jaśnie oświecony panie — odparł mówca—i to nie tylko Paryż, to cała Francya błaga was z nami, abyście się zgodzili na uwolnienie jej od tego tyрана; wszystko jest gotowe; potrzeba tylko skinięcia waszej dostojnej głowy dla zniweczenia tego pigmeja, co się pokusił o ponizienie samego domu królewskiego.

— Niestety! Bóg mi świadkiem, że przebaczam mu tę zniewagę — odparł Gaston, wznosząc oczy — lecz nie mogę słyszeć dłużej krzyków ludu; tak, przyjdę mu z pomocą...

— Ah! padamy do waszych kolan! — zawołał Montrésor, schylając się.

— To jest—dodał książę, cofając się—na tyle,

o ile moja godność nie będzie narażona i o ile nie będą widzieli nigdzie mojego imienia.

— A tu nam właśnie chodzi o nie! — zawołał Fontrailles, coraz bardziej ucieszony.—Patrzcie, jaśnie oświecony panie, już jest kilka imion do umieszczenia z kolei po waszem, a które nie boją się zapisać; wymienię je wam natychmiast, jeśli chcecie...

— Ale, ale, ale... — rzekł książę Orleański, trochę przestraszony—czy wiecie, że to, co mi proponujecie, jest poprostu spiskiem?..

— Cóż znowu! cóż znowu! jaśnie oświecony panie, ludzie honoru, jak my! spisek! ah! bynajmniej! to liga, co najwyżej, mała zgoda dla nadania kierunku jednomyślnemu życzeniu narodu i dworu: oto wszystko!

— Ale... ale to nie jest jasne, gdyż w końcu ta sprawa nie będzie ani ogólną, ani publiczną, a więc to będzie sprzysiężenie; czyż nie przyznacie się, że do niego należyście?

— Ja, jaśnie oświecony panie? wybaczone mi, przed całą ziemią, bo całe królestwo już do niego należy, a ja należę do królestwa. Eh! któż nie umieściłby swego nazwiska po imionach imcipanów de Bouillon i Cinq-Marsa?..

— Po, być może, ale przed?—rzekł Gaston, zatrzymując wzrok na Fontraille'u, i to przenikliwiej, niż się ten spodziewał.

Zapytany zdawał się wahać przez chwilę.

— A więc, co uczyniłby brat królewski, gdybym wymienił mu imiona, po których mógłby umieścić swoje?

— Ah! ah! to zabawne — odparł książę, śmiejąc się—czy wiesz, że ponad mojem niema ich wiele? Ja widzę tylko jedno.

— W końcu, jeśli jest jedno, czy jaśnie oświecony pan przyrzeka nam podpisać imię Gastona pod niem?

— Ah! dalibóg, z całego mego serca, nie ryzykuję nic, bo widzę tylko króla, który z pewnością nie bierze w tem udziału.

— A więc od tej chwili, pozwólcie—rzekł Montrésor — że trzymamy was za słowo, i raczcie się zgodzić teraz na dwie rzeczy tylko: na widywanie imcipana de Bouillon u królowej, a imcipana wielkiego koniuszego u króla.

— Zgodzi!—zawołał brat królewski wesoło, uderzając Montrésora po ramieniu—będę chodził od dnia dzisiejszego do gotowalni swojej bratowej i zaproszę brata do Chambordu na polowanie!

Dwaj przyjaciele nie żądali niczego więcej i sami byli zdziwieni swoim dziełem; nie widzieli nigdy tyle odwagi u swego pana. To też z obawy naprowadzenia go na coś, coby mogło zawrócić go z drogi, na którą wstąpił, pośpieszyli z zupełną odmianą rozmowy i odeszli zachwyceni, zostawiając jako ostatnie słowa w jego uchu, że liczą na jego ostatnie obietnice.

ROZDZIAŁ XV.

ALKIERZ.

Widziano królowe, płaczące, jak zwykle kobiety.

Chateaubriand.

Jak miło być piękną wtedy, gdy się jest kochaną.

Delfina Gay.

Podczas gdy księżę w ten sposób nabierał z trudnością otuchy dzięki tym, co go otaczali, i dawał im widzieć przestach, mogący być dla nich zaraźliwym, księżniczka, bardziej wystawiona na wypadki, bardziej odosobniona przez obojętność swego męża, słabsza z natury i przez trwożliwość, pochodzącą z braku szczęścia, dawała ze swej strony przykład najspokojniejszej odwagi i najpobożniejszego zdania się na wolę Boską, i pokrzepiała swój orszak przestraszony: to była królowa. Za ledwie usnęła przed godziną, gdy usłyszała przeraźliwe krzyki po za drzwiami i grubemi obiciami swej komnaty. Rozkazała swoim niewiastom wejść, i oto księżna de Chevreuse, w koszuli i owinięta w wielki płaszcz, upadła prawie zemdlona u stóp jej łóżka, a za nią weszły cztery frejliny dworu i trzy garderobiane. Delikatne jej nogi były bosc

i zakrwawione, bo zraniła się biegnąc; krzyczała, płacząc jak dziecko, że wystrzał pistoletowy strzasknął jej okiennice i szyby i zranił ją; błagała królową, aby ją powtórnie posłała na wygnanie, gdzie była spokojniejsza, niż w kraju, w którym chciano ją zamordować dlatego, że była przyjaciółką jej królewskiej mości. Miała włosy w wielkim nieładzie i spadające do jej stóp: to stanowiło głównie jej piękność i młoda królowa pomyślała, że było w tym stroju mniej przypadku, niżby należało sądzić.

— Eh! moja droga, cóż się tedy dzieje?— rzekła do niej z dosyć zimną krwią;— wyglądasz, jak Magdalena, lecz w czasach jej młodości, przed skrucną. Prawdopodobnie, jeśli mają tu do kogo urazę, to do mnie, uspokój się.

— Nie, pani, ocal mnie, broń mnie! To ten Richelieu mnie ściga, jestem tego pewna.

Odgłos pistoletów, dający się wtedy słyszeć wyraźniej, przekonał królową, że obawy pani de Chevreuse nie były próżne.

— Pójdź mnie ubrać, pani de Motteville! — zawołała.

Lecz ta straciła zupełnie głowę i otworzywszy jedną z owych niezmiernych skrzyń hebanowych, które służyły wtedy za szafy, wyjęła z niej szkatułkę z dyamentami królowej, aby je ocalić, i nie usłuchała jej. Inne kobiety spostrzegły w oknie światło pochodni, i wyobrażając sobie, że ogień jest w pałacu, ciskały klejnoty, koronki, naczynia złote, i nawet porcelanę na prześcieradła, chcąc je wyrzucić następnie przez okno. W tym samym czasie nadeszła pani de Guéméné, trochę więcej ubrana, niż księżna de Chevreuse, lecz wyobrażająca sobie całą rzecz jeszcze tragiczniej; przestraszył jej udzielił się trochę królowej z powodu spokojnego i uroczystego charakteru, z którego była znana. Weszła bez powitania, blada jak widmo, i rzekła szybko:

— Pani, czas, abyśmy się wypowiedziały; napadają na Luwr, i cały lud nadciąga z miasta, jak mi powiedziano.

Ostupienie zatamowało wszystkim oddech i cisza zaległa komnatę.

— Mamy umrzeć! — zawołała księżna de Chevreuse, ciągle na kolanach. — Ah! mój Boże! czemuż nie pozostałam w Anglii! Tak, spowiadam się; spowiadam się otwarcie: kochałam... byłam kochana przez...

— Dosyć, dosyć— rzekła królowa— nie podejmuję się słuchać aż do końca; nie byłoby to może najmniejsze z moich niebezpieczeństw, któremi nie zajmujesz się wcale.

Zimna krew Anny Austryackiej i ta druga surowa odpowiedź przywróciły jednak trochę spokoju tej pięknej osobie, gdyż podniosła się zawstydzona, a spostrzegłszy nieład w swoim stroju, poszła go poprawić, jak mogła najlepiej, do sąsiedniego gabinetu.

— Dona Stefania— rzekła królowa do jednej ze swych niewiast, jedynej Hiszpanki, jaką zatrzymała przy sobie — poszukaj kapitana gwardyi; czas, abym zobaczyła w końcu kogoś z mężczyzn i usłyszała coś rozsądnego.

Powiedziała to po hiszpańsku, a tajemniczość tego rozkazu w języku, którego tamte nie rozumiały, kazała wrócić zdrowemu rozumowi do komnaty.

Panna służąca odmawiała Różaniec, ale się podniosła z rogu alkierza, dokąd się schroniła, i wyszła, biegnąc, aby spełnić rozkaz swej pani.

Tymczasem oznaki buntu i symptomaty trwogi stawały się wyraźniejsze pod spodem i wewnątrz. Słychać było na wielkim dziedzińcu Luwru tupotanie koni gwardyi, komendy dowódców, toczenie się karoc królowej, do których zaprzęgano, aby uciec, gdyby zaszła tego potrzeba, dalej szczepek łańcuchów żelaznych, wleczonych po bruku, dla utworzenia barykad

w razie natarcia, przyspieszone kroki, uderzenia broni, gromady ludzi, biegających po korytarzach, głuche i pomieszane krzyki ludu, które podnosiły i cichły, oddalały się i zbliżały, jak szum fal i wiatrów.

Drzwi otworzyły się znów, aby wpuścić zachwycającą osobę.

— Czekałam na ciebie, droga Maryo — rzekła królowa, wyciągając ramiona do księżniczki Mantuańskiej — ty miałaś więcej odwagi, niż my wszystkie, przybywasz wystrojona, aby być widzianą przez cały dwór.

— Nie położyłam się spać, na szczęście — odparła księżniczka Gonzaga, spuszczać oczy — widziałam cały ten lud z moich okien. Oh! pani, pani, uciekaj! błagam cię, ratuj się tajemnymi schodami i pozwól nam zostać na swoim miejscu; będą mogli wziąć jedną z nas za królowę, a — dodała, wylewając łzę — słyszałam właśnie, jak grozili śmiercią. Ratuj się, pani! ja nie mam tronu do stracenia! jesteś córką, żoną i matką królów, ocal siebie i zostaw nas tutaj.

— Masz do stracenia więcej odemnie, moja przyjaciółko, bo piękność, młodość i, mam nadzieję, szczęście — powiedziała królowa z wdzięcznym uśmiechem, dając jej swą piękną rękę do pocałowania. — Zostań w moim alkierzu, zgadzam się na to, lecz będziemy tu obie. Jedyłą usługą, jaką przyjmę od ciebie, piękne dziecko, będzie, gdy mi przyniesiesz tu do mego łóżka tę złotą szkatułkę, którą moja biedna Motteville zostawiła na podłodze, a która zawiera to, co mam najkosztowniejszego.

Biorąc żądany przedmiot z rąk Maryi, dodała jej na ucho:

— Gdyby mnie spotkało jakie nieszczęście, przysięgnij mi, że ją weźmiesz, aby wrzucić do Sekwany.

— Będę ci posłuszna, pani, jako dla swojej dobrodziejki i swojej drugiej matki — rzekła, płacząc.

Tymczasem odgłos walki wzrastał się na ulicach wybrzeżnych i okna komnaty odbijały często światło wystrzałów, których słychać było wybuch. Kapitan gwardyi i dowódca Szwajcarów kazali zapytać się o rozkazy przez donę Stefanie.

— Pozwalam im wejść — rzekła królowa. — Stańcie szeregami z tej strony, moje panie; jestem mężczyzną w tej chwili i muszę nim być.

Potem, podnosząc zasłony swego łóżka, mówiła dalej, zwracając się do dwóch oficerów:

— Mości panowie, przypomnijcie sobie naprzód, iż odpowiadacie waszą głową za życie książąt, moich dzieci, wiecie o tem, mości de Guitaut?

— Leżę na progu ich drzwi, pani; ale ten ruch nie grozi ani im, ani Waszej Królewskiej Mości.

— To dobrze, nie myśl o mnie, aż dopiero po nich — przerwała królowa — i opiekuj się bez różnicy tymi wszystkimi, co są zagrożeni. Rozumiesz mnie także, mości de Bassompierre; jesteś szlacheccem; zapomnij, że twój stryj jest jeszcze w Bastylii, i pełnij swój obowiązek przy wnukach nieboszczyka króla, jego przyjaciela.

Był to młodzieniec o twarzy śmiałej i otwartej.

— Wasza Królewska Mość — rzekł z lekkim akcentem niemieckim — może się przekonać, że zapominam tylko o swojej rodzinie.

I pokazał lewą rękę, gdzie brakowało dwóch palców, które zostały ucięte.

— Mam jeszcze drugą rękę — powiedział, kłaniając się i odchodząc z Guitautem.

Królowa, wzruszona, wstała natychmiast i, mimo prośb księżnej de Guéménée, płaczu Maryi Gonzagi i krzyków pani de Chevreuse, stanęła w oknie

i otworzyła je, oparta na ramieniu księżniczki Mantuańskiej.

— Co słyszysz?—rzekła—wistocie, wołają: Niech żyje król!... Niech żyje królowa!...

Lud, zdając się ją poznawać, podwoił okrzyki w tej chwili i usłyszano:

— Precz z kardynałem! Niech żyje imćpan le Grand!

Maryja zadrżała.

— Co ci jest? — zapytała królowa, przyglądając się jej.

Ale ponieważ nie odpowiadała i drżała na całym ciele, ta dobra i łagodna pani udała, że tego nie widzi, i zwracając największą uwagę na okrzyki ludu i na jego poruszenia, przesadziła nawet w niepokoju, którego już nie miała, od chwili jak pierwsze imię obito się o jej uszy. W godzinę później, gdy przyszli jej powiedzieć, że tłum oczekuje tylko skinienia jej ręki, aby się rozejść, uczyniła to z wdziękiem i z wyrazem zadowolenia; ale ta radość była daleka od zupełności, bo wewnątrz jej duszy było zaniepokojone przez wiele rzeczy, a zwłaszcza przez poczucie regencji. Im więcej wychylała się z okna, aby się pokazać, tem lepiej widziała oburzające sceny, które dzień wschodzący oświetlał aż nadto; przestraszony wracał do jej serca w miarę, jak stawało się niezbędnym zachować spokój i ufność, a jej dusza smuciła się wesołością jej słów i oblicza. Wystawiona na wszystkie te spojrzenia, czuła się kobietą i drżała, widząc ten lud, którym miała może wkrótce rządzić, a który umiał już żądać czyjejsź śmierci i przyzywać swe królowe. Ukłoniła się tedy.

W sto pięćdziesiąt lat później ten ukłon został powtórzony przez inną księżniczkę, jak ona, zrodzoną z krwi austriackiej i królową Francji. Monarchia bez podstawy, taka, jaką uczynił ją Richelieu, zrodziła

się i zmarła między temi dwoma stawieniami się przed ludem.

Nakoniec królowa kazała zamknąć napowrót okna i oddaliła śpiesznie bojaźliwy swój orszak. Grube firanki opadły znów na szyby pstro umalowane, i komnata nie była już oświetlona przez wstrętny dla niej dzień; wielkie świece z wosku białego płonęły w świecznikach w kształcie złotych ramion, które wychodziły z obramowanych i ozdobionych liliami obić.

Chciała zostać sama z Maryją Mantuańską i powróciwszy z nią do ogrodzenia, jakie tworzyła królewska balustrada, padła na łóżko, zmęczona swą odagą i swemi uśmiechami i zaczęła rozplływać się we łzach, z czołem opartem o poduszkę. Maryja, kłęcząc na aksamitnym stopniu, trzymała jedną z jej rąk w swoich, a nie śmiąc przemówić pierwsza, oparła na niej swoją głowę z drżeniem, bo dotąd nigdy nie widziano ły z oczach królowej.

Pozostały tak przez kilka minut. Poczem monarchini, podnosząc się z trudnością, rzekła do niej w ten sposób:

— Nie martw się, moje dziecko, pozwól mi płakać, to robi tyle dobrego, kiedy się panuje! Jeśli modlisz się do Boga za mnie, proś go o siłę dla mnie, abym nie nienawidziła wroga, który ściga mnie wszędzie, a który zgubi rodzinę królewską we Francji i monarchię przez swoją żądzę dostojęństw bez miary; poznaję go jeszcze w tem, co zaszło, widzę go w tych zgiełkliwych buntach.

— A to jak? pani, czyż on nie jest w Narbonne? gdyż o kardynale mówisz, bezwątpienia? Czyż nie słyszałaś, że te okrzyki były dla ciebie, a przeciwko niemu?

— Tak, moja przyjaciołko, on jest o trzysta mil od nas, lecz jego geniusz zagnany czuwa przy tych drzwiach. Jeśli te okrzyki zostały podniesione, to dlatego, że pozwolił na nie; jeśli ci ludzie się zgro-

madzili, to dlatego, że nie nadeszła godzina, wybrana przez niego na ich zgubę. Wierz mi, znam go i opłacałam drogo poznanie tej duszy przewrotnej; kosztowało mnie ono całą potęgę mojej godności, przyjemności mojego wieku, przywiązanie mojej rodziny, aż do serca mego męża; odosobnił mnie od całego świata, zamyka mnie teraz za zaporą zaszczytów i szacunku, a niedawno śmiał, ku zgorszeniu całej Francji, oskarżyć mnie samą, zrewidowano me papiery, badano mnie, kazano mi się podpisać, że byłam winna i prosić króla o przebaczenie za winę, o której nie wiedziałam i tylko zawdzięczałam poświęceniu i wiecznemu, być może, więzieniu wiernego służącego¹⁾ zachowanie tej szkatułki. Widzę w twoich spojrzeniach, że posądzasz mnie o zbyt wielki przestach, ale ty się nie myl co do tego, jak cały dwór czyni to obecnie, wasza droga córko; bądź pewna, że ten człowiek jest wszędzie i zna nawet nasze myśli.

— Jakto, pani! czyżby wiedział o wszystkim, co wykrzykiwali ci ludzie pod twemi oknami i o nazwisku tych, co ich posyłają?

— Tak, bezwątpienia, wie o tem naprzód, albo przewiduje; pozwala na to, upoważnia do tego, aby mnie narazić w oczach króla i utrzymywać go w wiecznym rozdziale ze mną; chce dokonać mego upokorzenia.

— A jednak król nie lubi go już od dwóch lat; innego teraz miłuje.

Królowa się uśmiechnęła. Wpatrywała się przez chwilę w milczeniu w szczere i czyste rysy pięknej Maryi i w jej spojrzenie, pełne prostoty, które się podnosiło na nią zwolna; odsunęła czarne pierścienie włosów, co zasłaniały to piękne czoło i zdawała się

¹⁾ Nazywał się Laporte. Ani obawa kaźni, ani nadzieja otrzymania złota od kardynała, nie wyrwały z niego ani jednego słowa tajemnic królowej.

uspakając swe oczy i swoją duszę, widząc tę zachwycającą nienawiść, wyrażoną na licach tak pięknych. Pocałowała ją w policzek i odparła:

— Ty nie domyślasz się, biedny aniele, smutnej prawdy. Król bowiem nie kocha nikogo i ci, którzy zdają się najbardziej w łaskach, są najbliżsi opuszczenia i rzucenia przez niego na pastwę temu, co pochłania i pożera wszystko.

— Ach, mój Boże, co mówisz!

— Czy wiesz, ilu ich zgubił? — ciągnęła królowa ciszej, i patrząc w jej oczy, jakby dla wyczytania z nich całej jej myśli i dla przelania tam swojej. — Czy znasz koniec jego ulubieńców? Czy ci opowiadano o wygnaniu Baradasa, Saint-Simona, o klasztorze panny de La Fayette, o hańbie pani de Hautefort, o śmierci imci pana de Chalais, dziecka, najmłodszego i pierwszego z tych wszystkich, co zostali pokrzywdzeni, wygnani z kraju straceni, wszyscy zniknęli pod jego technieniem, na rozkaz Richelieu i gdyby nie ta łaska, którą bierzesz za przyjaźń, ich życie byłoby spokojne, ale ta łaska jest śmiertelna, to trucizna. Masz, spojrzysz na ten kobierzec, przedstawiający Semele. Ulubieńcy Ludwika XIII podobni są do tej kobiety; jego przywiązanie pożera, jak ten ogień, co ją oślepia i pali.

Lecz młoda księżniczka nie była już w stanie słyszeć królowej; wpatrywała się w nią ciągle wielkimi, czarnymi oczyma, które zasłona z łez zciemniała, jej ręce drżały w rękach Anny austriackiej, a konwulsyjne drżenie poruszało jej usta.

— Jestem bardzo okrutna, nieprawdaż, Maryo? — mówiła dalej królowa głosem nadzwyczajnej słodyczy i pieszcząc ją, jak dziecko, od którego chce otrzymać wyznanie. — Oh! tak, niewątpliwie, jestem bardzo zła, mamy zmartwienie; nie możesz już wytrzymać, moje dziecię! No, powiedz mi, jak daleko zaszłaś z imci panem de Cinq-Mars?

Na te słowa boleść znalazła sobie ujście, i ciągle kłęcząc u stóp królowej, Marya wylała ua łono tej dobrej pani potok łez z dziecinnem łkaniem i tak gwałtownymi poruszeniami głowy i pięknych ramion, jakby serce jej miało pęknąć. Królowa oczekiwała długo końca tego pierwszego wzruszenia, kołysząc ją na swych rękach, aby uspokoić jej boleść i powtarzając często:

— No, moja córko, no, moja córko, nie martw się tak!

— Ach, pani! — zawołała — zawiniłam bardzo przeciwko tobie, ale nie liczyłam na to serce! Zbliździłam, będę zato może bardzo ukarana! Lecz, niestety, jakżebym śmiała mówić do ciebie, pani? To nie duszę moją otworzyć było mi trudno, ale ci wyznać, że czuję potrzebę, aby z niej czytano.

Królowa zamyśliła się przez chwilę, jakby chcąc wejść w siebie i położyła palec na ustach.

— Masz słusność — odparła następnie — masz wielką słusność, Maryo, to zawsze pierwsze słowo trudno nam wypowiedzieć i to gubi nas często, ale to potrzebne i gdyby nie pozór, byłoby się blizką braku godności. Ach, jakże trudno panować! Dziś oto chcę zstąpić do twego serca i przybywam zapóźno, aby ci dobrze uczynić.

Marya Mantuańska schyliła głowę bez odpowiedzi.

— Trzebaż ci dodawać odwagi, abys mówiła? — rzekła znów królowa. — Trzebaż ci przypominać, że przyjąłam cię prawie jak moją córkę starszą, że po usiłowaniu, abys zaślubiła brata króla, przygotowywałam dla ciebie tron Polski? Trzebaż więcej, Maryo? Tak, trzeba więcej, uczynię to dla ciebie, jeśli potem nie dasz mi poznać całego twego serca, źle osadziłam cię. Otwórz swoją ręką tę złotą szkatułkę, oto klucz: otwórz ją śmiało, nie drzyj, jak ja.

Księżniczka Mantuańska, wahając się, spełniła

rozkaz i ujrzała w tej skrzynce cyzelowanej nóż prostego kształtu, o rękojeści żelaznej i bardzo zardzewiałem ostrzu; leżał on na kilku listach starannie złożonych, na których było nazwisko Buckinghama. Chciała je podnieść, ale Anna austriacka zatrzymała ją.

— Nie szukaj niczego innego — rzekła do niej — to cały skarb królowej... To skarb, bo to krew człowieka, który już nie żyje, ale żył dla mnie, był to najpiękniejszy, najmężniejszy, najślawniejszy z wielkich mężów Europy; aby mi się podobać, okrył się dyamentami korony angielskiej, wywołał krwawą wojnę i uzbroił flotę, aby mieć szczęście pobić raz tego, który był moim mężem; przepłynął morze, aby zerwać kwiat, po którym stapałam i wystawił się na niebezpieczeństwo śmierci, aby ucałować i zwilżyć łzami nogi tego łóżka w obecności dwóch niewiast mojego dworu. Czyż powiem więcej? Tak, mówię to do ciebie, ja go kochałam, kocham go jeszcze w przeszłości więcej, niż można kochać w miłości. I cóż, on nie dowiedział się nigdy o tem, nigdy tego nie odgadł; ta twarz, te oczy, były dla niego z marmuru, podczas gdy moje serce płonęło i pękało z bólu, lecz byłam królową Francyi...

Tu Anna austriacka uściśnęła znów silnie rękę Maryi.

— Odważ się teraz skarżyć — ciągnęła dalej — jeśli nie mogłaś mówić mi o miłości; i ośmiel się milczeć, gdy przed chwilą powiedziałam ci takie rzeczy!

— Ach, tak pani, ośmielę się powierzyć ci moją boleść, ponieważ jesteś dla mnie...

— Przyjaciółką, kobietą — przerwała królowa — byłam kobietą przez mój przestach, który dał ci poznać tajemnicę, nieznaną dla całego świata; byłam kobietą, widzisz, przez miłość, co przeżyła czło-

wieka, którego kochałam... Powiedz, powiedz mi, już czas...

— Już nie czas, przeciwnie! — odparła Marya z uśmiechem przymuszonym.—Z imci pan de Cinq-Mars jesteśmy złączeni na zawsze.

— Na zawsze!—zawołała królowa—tak myślisz? a twoja godność, twe imię, twoja przyszłość, wszystko-li stracone? Czy pomyślałaś, jaki to byłby cios dla twego brata, księcia de Rethel, i dla wszystkich Gonzagów?

— Od czterech lat przeszło myślę o tem i już postanowiłam, a od dziesięciu dni jesteśmy zaręczeni...

— Zaręczeni! — wykrzyknęła królowa, klasnąwszy rękoma. — Oszukano cię, Maryo! Któżby się na to ważył bez rozkazu króla? To jakaś intryga, o której chcę wiedzieć; jestem pewna, że cię wciągnięto i oszukano.

Marya namyśliła się przez chwilę i rzekła:

— Nie było nic proszczego, pani, nad nasze przywiązanie. Mieszkałam, wiesz o tem, w starym zamku Chaumont u marszałkowej d'Effiat, matki imci pena de Cinq-Mars. Schroniłam się tam, aby opłakiwać swego ojca, gdyż wkrótce musiał on sam przywdziać żałobę po swoim. W tej licznej rodzinie zasnuconej widziałam tylko jego boleść tak głęboką, jak moja; o wszystkim, o czem on mówił, ja już myślałam, a kiedy zaczęliśmy opowiadać sobie o swych zmartwieniach, spostrzegliśmy, że były do siebie bardzo podobne. Ponieważ mnie pierwszą dotknęło nieszczęście, wiedziałam lepiej, jak postępować w smutku i starałam się go pocieszyć, mówiąc mu, co przecierałam, tak, że żałując mnie, zapominał o sobie. To był początek naszej miłości, która, jak widzisz, zrodziła się prawie między dwiema mogiłami.

— Daj Boże, moja droga, aby szczęśliwie się zakończyła!—powiedziała królowa.

— Mam nadzieję, pani, ponieważ ty modlisz się za mnie! — mówiła dalej Marya. — Zresztą wszystko uśmiecha mi się teraz, lecz wówczas byłam bardzo nieszczęśliwa! Pewnego dnia przyszła do zamku wiadomość, że kardynał powołuje imci pana de Cinq-Mars do wojska; zdawało mi się, że porywano znów jednego z moich, a przecież byliśmy sobie obcy. Lecz imci pan de Bassompierre nie przestawał mówić o bitwach i śmierci. Udawałam się na spoczynek co wieczór bardzo zaniepokojona i płakałam w nocy. Sądziłam najprzód, że moje łzy płynęły dla przeszłości, ale spostrzegłam się, że opłakiwałam przyszłość i czułam dobrze, że to nie mogły być te same łzy, gdyż pragnęłam je ukryć.

Jakiś czas upłynął w oczekiwaniu tego odjazdu, widywałam go codziennie i żałował, że odjeżdża, gdyż mówił mi co chwila, że chciałby żyć wiecznie, jak wówczas, w swoim kraju i z nami. Tak był on bez żądy dostojeństw, aż do dnia swojego odjazdu, bo nie wiedział, czy był... nie śmiem powiedzieć Waszej Królewskiej Mości...

Marya, rumieniąc się, spuściła oczy wilgotne od łez, lecz z uśmiechem.

— No — rzekła królowa — czy był kochany, nieprawdaż?

— A wieczorem, pani, odjechał, żądny zaszczytów.

— Spostrzeżono to wistocie. Ale w końcu odjechał — powiedziała Anna austriacka, pozbywszy się małego niepokoju — lecz powrócił od dwóch lat, przecież widziałaś go...

— Rzadko, pani! — odparła młoda księżniczka z odcieniem dumy — i zawsze w kościele i w obecności kapłana, przed którym przyrzekłam, że będę należała jeno do imci pana de Cinq-Mars.

— Czyż to jest ślub? czy rzeczywiście ośmielo-

no się to zrobić? dowiem się o tem. Ale, mój Boże, ileż błędów, ileż błędów, moje dziecię, w tych kilku słowach, które słysze! Pozwól mi zastanowić się nad niemi.

I mówiąc głośno do siebie, królowa ciągnęła dalej, ze spuszczonemi oczyma i głowę, w postawie rozmyślania:

— Wymówki są zbyt uczynne i okrutne, jeśli się stało; przeszłość nie do nas należy, myślimy o reszcie czasu. Cinq-Mars jest sam z siebie mężny, dowcipny, głęboki nawet w swoich myślach; miałam na niego oko, posunął się przez dwa lata dużo naprzód i widzę, że to uczynił dla Maryi... Prowadzi się dobrze, jest godny, tak, jest godny jej w moich oczach, ale nie w oczach Europy, nie. Trzeba, aby się wzniosł jeszcze bardziej, księżniczka mantuańska może zaślubić tylko księcia. Trzeba, aby nim został. Co do mnie, nie mogę tu nic uczynić, nie jestem wcale królową, jestem zaniedbaną małżonką króla. Pozostaje kardynał, wieczny kardynał... a on jest jego wrogiem, i może ten rozruch...

— Niestety, to początek wojny między nimi, zbyt dobrze widziałam to przed chwilą.

— Więc jest zgubiony!—zawołała królowa, ścisnąc Maryę.—Przebac, moje dziecię, rozdieram ci serce, ale musimy wszystko widzieć i o wszystkim mówić dziś; tak, on jest zgubiony, jeśli nie obali sam tego złego człowieka, bo król się go nie wyrzeknie; jedna siła...

— On go obali, pani, on to uczyni, jeśli ty mu pomożesz. Ty jesteś jakby bożyszczem Francji; oh! zaklinam cię! opiekuj się aniołem przeciw złemu duchowi; to twoja sprawa, to sprawa królewskiej twojej rodziny, to sprawa całego twego narodu...

Królowa uśmiechnęła się.

— To twoja sprawa nade wszystko, moja córko, nieprawdaz? i właśnie jako taką, otoczę ją całą swo-

ją mocą; nie wielka ona, mówiłam ci o tem, lecz takiej, jaka jest, użyję ci w całości, byle tylko ten „aaio!” nie zniżył się aż do grzechów śmiertelnych—dodała ze spojrzeniem pełnem bystrości dowcipu. — Słyszałam jego nazwisko, wymówione tej nocy przez głosy wprost niegodne jego osoby.

— Oh, pani, przysięgłabym, że nie wiedział nic o tem!

— Ach, moje dziecię, nie mówmy o sprawach państwa, nie jesteś bardzo uczona jeszcze; pozwól mi pospać trochę, jeśli będę mogła, przed godziną mojej toalety; mam oczy bardzo gorące, a i ty także zapewne.

Przy tych słowach miła królowa zwiesiła głowę na poduszkę, która przykrywała szkatułkę i wkrótce Marya zobaczyła, że usnęła ze zmęczenia. Wstała wtedy i usiadłszy w wielkim fotelu wyściełanym, z poręczami i czworobocznego kształtu, złożyła ręce na kolanach i zaczęła rozmyślać nad bolesnem swoim położeniem. Pocieszona widokiem ukochanej opiekunki, zwracała często swe oczy na nią, aby czuć nad jej snem i zsyłała na nią w tajemnicy wszelkie błogosławieństwa, jakich miłość nie skąpi nigdy tym, którzy ją popierają, całując kilkakrotnie pierścienie jasnych jej włosów, jakby przez ten pocałunek chciała wślizgnąć jej w duszę wszystkie myśli, sprzyjające jej myśli nieustannej.

Sen królowej przedłużał się, a Marya rozmyślała i płakała. Jednakże przypomniła sobie, iż o godzinie dziesiątej miała się ukazać w stroju królewskim wobec całego dworu; chciała przestać rozmyślać, aby zatrzymać swoje łzy, i wzięła wielki tom *in-folio*, leżący na stole, ozdobionym emalią i medalionami; była to „Astrea” imcipana d’Urfé, dzieło pięknego wykwinutu, uwielbiane przez piękne kobiety, wydwarzające się z surowością obyczajów. Umysł naiwny, lecz właściwy Maryi, nie mógł wnikać w te miłości pasterskie,

była zbyt prosta, aby zrozumieć pasterzy z nad brzegów Lignonu, zbyt dowcipną, aby znaleźć upodobanie w ich rozmowach, i zbyt namiętną, aby odczuć ich tkliwość. Jednakże wielkie powodzenie tego romansu tak jej imponowało, że chciała się zmusić do zajęcia onym, i oskarżając w duchu siebie za każdym razem, gdy odczuwała znudzenie, które wiało ze strony tej książki, przebiegała ją niecierpliwie, aby odnaleźć to, co powinno było się jej podobać i wywołać w niej zachwyt; jeden szych zwrócił na siebie jej uwagę: przedstawiał pasterkę Astreę z wysokimi obcasami, gorsetem i niezmiernym *vertugadin'em* ¹⁾, wspierającą się na końcach stóp, aby widzieć wchodzącego do rzeki czułego Céladona, który się topił z rozpaczą, że został nieco zimno przez nią przyjęty. Nie zdając sobie sprawy z powodów swego niesmaku i z fałszywości nagromadzonych w tym obrazie, szukała, zwiłając stronicę pod swym wielkim palcem, jednego słowa, któreby zatrzymało jej uwagę; spostrzegła wyraz *druid*.

— Ah! oto wielki charakter! — rzekła do siebie — zobaczę niewątpliwie jednego z tych tajemniczych ofiarników, po których Bretania podobno przechowuje jeszcze kamienne bożyszczka; lecz ujrzę go poświęcającego ludzi; to będzie straszne widowisko, czytamy jednak.

Mówiąc to sobie, Marya przeczytała z odrazą, marszcząc brew i prawie drżąc, co następuje:

„²⁾ Druid Adamas przywołał ostrożnie pasterzy: Pimandra, Ligdamonta i Clidamanta, dopiero co przybyłych z Calais. — Ta przygoda może się skończyć, rzekł do nich, tylko ostatecznością miłości. Umysł,

gdy kocha, przemienia się w przedmiot ukochany; aby właśnie to upostaciować, moje czary pozwolą wam widzieć w tem źródle nimfę Sylwię, którą wszyscy trzej kochacie. Wielki kapłan Amasis ma przybyć z Montbrisonu i wytlómaczy wam wykwinność tego zamysłu. Idźcie więc, mili pasterze; jeśli wasze życzenia są dobrze obliczone, nie sprawią wam żadnych udręczeń; a jeśli nie są, zostaniecie za to ukarani zniknięciem podobnym do zniknięć Céladona i pasterki Galatei, którą nadała Herkules porzucił w górach Owernii, a która nadała swe imię czułemu krajowi Gallów; albo też jeszcze zostaniecie ukamienowani przez pasterki Lignonu, jak srogi Amidor. Wielka nimfa tej jaskini rzuciła czary...”

Czary wielkiej nimfy były zupełne na księżnicce, która miała zaledwie dosyć siły, aby poszukać omdlewającą ręką, przy końcu książki, że druid Adamas był genialną alegorią, wyobrażającą generał-porucznika Montbrisona, z rodziny Paponów; zmęczone jej oczy zamknęły się, a wielka książka zsunęła się po jej sukni aż do aksamitnej poduszki, na której opierały się jej nogi, i gdzie spoczęły wygodnie piękna Astrea i zalotny Céladon, mniej nieruchomi, niż Marya Mantuańska, zwyciężona przez nich i głęboko uśpiona.

¹⁾ Listewka wywatowana, jaką dawniej kobiety nosiły poniżej stanika, pod suknią. (*Przyp. tłóm.*)

²⁾ Czytaj Astreę, jeśli to możebne.

ROZDZIAŁ XVI.

ZAMIESZANIE.

Potrzeba we Francyi wiele stateczności i wielkiej rozległości umysłowej, aby się obejść bez podatków i urzędów i zgodzić tym sposobem na pozostanie u siebie bez żadnego zajęcia.

Nikt prawie nie ma dostatecznej zasługi, aby grać tę rolę z godnością, ani dość zasobów, aby wypełnić próżnię czasu, bez tego, co ludzie pospolicie nazywają interesami.

Brak jednakże próżniactwu mędrca tylko lepszego imienia, i aby rozmyślanie, rozmowę, czytanie i byt spokojny, nazywano pracą.

La Bruyère.

Tego samego poranku, którego przeróżne wypadki widzieliśmy u Gastona Orleańskiego i u królowej, spokój i cisza pracowni panowały w skromnym gabinecie wielkiej kamienicy, sąsiadującej z pałacem Sprawiedliwości. Miedziana lampa gotyckiego kształtu walczyła tam o lepsze ze wschodem dnia i rzuciła czerwone światło na stos papierów i książek, leżących na dużym stole; oświetlała popiersie L'Hospital'a Montaigne'a, prezydenta de Thou, histo-

Thou — to mi się zdaje bardzo słusznem, bardzo słusznem zaprawdę.

— Otóż — ciągnął Fournier — to on sam naruszył tę umowę; bo dziś rano, oprócz lotrów, których ten zręczny szperacz de Gondi nam przyprowadził, widziałno, sam nie wiem, jakiegoś włóczęgę junaka, który w nocy zadawał cięcia szpadą i sztyletem szlachcie obu stronnictw, wołając na zabój: Do mnie, d'Aubijoux! wygrałeś odemnie trzy tysiące dukatów, masz trzy uderzenia szpadą. Do mnie, La Chapelle! dostanę dziesięć kropli twojej krwi wzamian moich dziesięciu pistoli; i widziałem go swemi oczyma, jak uderzał na tych ichmościów i na wielu innych jeszcze z dwóch stronnictw, dosyć ucziwie, to prawda, godził w nich bowiem tylko wprost i dobrze się zasłaniając, ale z wielkiem szczęściem i oburzającą bezstronnością.

— Tak, mospanie, i miałem wyrazić mu o tem moje zdanie — odparł du Lude — gdy spostrzegłem, jak uciekał w tłumie i śmiał się bardzo z kilku nieznanymi o twarzach ogorzałych; nie wątpię jednak, że to imć pan de Cinq-Mars go posłał, bo wydawał rozkazy owemu Ambrosio, którego musicie znać, owemu więźniowi hiszpańskiemu, owemu nieponiowi, którego wziął na służącego. Dalibóg, czuję wstręt z tego powodu i nie jestem stworzony, aby być za pan brat z tym łajdakiem.

— To tu, mospanie — odparł Fournier — zupełnie się różni od sprawy louduńskiej. Lud tylko powstał, nie buntując się rzeczywiście; tam była zdrowa i szanowana część ludności, oburzona morderstwem i nie podniecona winem i pieniędzmi. Był to krzyk podniesiony przeciw katu, którego krzyk narzędziem można było być z godnością, a nie te wycia buntowniczej obłudy i zgrai włóczęgów, powstałych z błota Paryża i wyrzuconych przez jego kanały. Wyznaję, że jestem wielce zmęczony tem, co widzę, i przyby-

łem tu także prosić waćpana, abyś powiedział o tem imci panu le Grand.

De Thou był bardzo zakłopotany tą rozmową i napróżno usiłował zrozumieć, co Cinq-Mars mógł mieć do czynienia z ludem, który zdawał się weselić; z drugiej strony, upierał się przy swoim, aby się nie przyznać do swej nieświadomości; była ona jednak zupełna, gdyż za ostatniem widzeniem przyjaciel jego rozmawiał tylko o koniach i stajniach króla, o polowaniu z sokołem i o znaczeniu wielkiego łowczego w sprawach państwa, co nie zdawało się zwiastować rozległych zamiarów, do jakich lud mógłby wchodzić. Nakoniec odważył się nieśmiało powiedzieć:

— Mości panowie, przyrzekam spełnić wasze polecenie; tymczasem ofiaruję wam swój stół i łóżka na tak długo, jak będziecie chcieli. Lecz wypowiedzieć wam moje zdanie przy tej sposobności jest mi trudno. Do licha, powiedzcież mi tedy, więc nie obchodzono uroczystości Świętej Barbary?

— Świętej Barbary!—zawołał Fournier.

— Świętej Barbary—powtórzył du Lude.

— Tak, tak, spalono trochę prochu; pewno o tem chce mówić imé pan de Thou — odparł pierwszy ze śmiechem.—Ach, to bardzo zabawne, bardzo zabawne! Tak, wistocie, zdaje mi się, że to dziś Świętej Barbary!

Tym razem de Thou został zawstydzony ich zdziwieniem i zmuszony do milczenia; co do nich, widząc, że się nawzajem nie rozumieli, postanowili milczeć tak samo.

Milczeli jeszcze, gdy otworzyły się drzwi i wszedł dawny gubernier Cinq-Marsa, ksiądz Quillet, kulejąc nieco. Miał minę stroskaną i nie zachował nic z dawnej swojej wesołości w wyglądzie i słowach; tylko jego wzrok był żywy i mowa porywcza.

— Przepraszam, przepraszam, mój drogi de

Thou, jeśli przeszkadzam ci tak wczesnie w twoich zajęciach; to zadziwiające, nieprawdaz, ze względu na moją pedogre? Ach! bo też czas idzie naprzód; przed dwoma laty nie kulałem; byłem, przeciwnie, bardzo żwawy w czasie mojej podróży we Włoszech; to prawda, że strach ma wielkie oczy i daje skrzydła.

To mówiąc, poskoczył w głąb okna i kiwnął na de Thou, aby przyszedł tam z nim pomówić, poczem ciągnął pocichu:

— Chcę ci powiedzieć, mój przyjacielu, tobie, co znasz ich tajemnice; zaręczyłem ich przed piętnastu dniami, jak ci o tem opowiedzieli.

— Tak, doprawdy! — rzekł biedny de Thou, wpadając z Charybdy do Scylli w nowym podziwie.

— No, dlaczego udajesz zdziwionego? wiesz dobrze kogo—ciągnął ksiądz. — Ale, dalibóg, lękam się, czy nie miałem za wiele uprzejmości dla nich, chociaż te dwa dzieciaki są doprawdy zajmujące swoją miłością. Boję się bardziej o niego niż o nią; zdaje mi się, że robi głupstwa, sądząc z dzisiejszego rozruchu. Powinnibyśmy porozumieć się w tym względzie.

— Ale—rzekł de Thou nader poważnie—ja nie wiem, na honor, co waćpan chcesz powiedzieć. Któż więc robi głupstwa?

— Cóż znów, mój drogi! chcesz jeszcze udawać przedemną głupiego? To obelga — rzekł poczciwiec, zaczynając się gniewać.

— Nie, naprawdę! Ale kogożeście zaręczyli?

— Jeszcze! wstydź się, waćpan!

— Ale cóż to był za rozruch dziś rano?

— Żartujesz sobie ze mnie. Odchodzę—powiedział ksiądz, wstając.

— Przysięgam wam, że nie rozumiem nic z tego wszystkiego, co mi dziś mówią. Czy to imé pan de Cinq-Mars?

— Nareszcie, mości panie, traktujesz mnie jak

kardynałistę; a więc, rozstańmy się—powiedział ksiądz Quillet wściekły.

I wziął napowrót swą laskę o kuli i wyszedł bardzo prędko, nie słuchając de Thou, który poszedł za nim aż do powozu, próbując go uspokoić, ale bez powodzenia, gdyż nie śmiał nazwać swego przyjaciela po imieniu na schodach wobec swych ludzi i nie mógł się wytlómaczyć. Doznał przykrości, widząc, że starszerek odjeżdża bardzo jeszcze zagniewany i zawołał doń: — Do jutra! gdy woźnica ruszył z miejsca, lecz nie otrzymał odpowiedzi.

Przydało mu się jednak, że zeszedł do samego dołu schodów swego domu, gdyż ujrzał odrażające kupy gminu, które powracały z Luwru i mógł sam wtedy osądzić znaczenie ich ruchu tego rana; słyszał chropowate głosy, wołające jakby w tryumfie:

— Ukazała się przecież mała królowa! — Niech żyje książę de Bouillon, niech do nas przybywa! Ma sto tysięcy ludzi z sobą, już płyną na tratwie po Sekwanie. Stary kardynał Roszelli umarł. — Niech żyje król! Niech żyje imię pan le Grand!

Krzyki podwoiły się jeszcze, gdy czterokony pojazd ze służbą w liberyi królewskiej zatrzymał się przed drzwiami radcy. Poznał zaprząg Cinq-Marsa, któremu Ambrosio, zsiadłszy z kozła, odstłonił franki, jakie miały karoco ówczesne. Lud rzucił się między stopień pojazdu a pierwsze schody domu radcy, tak, że Cinq-Mars musiał użyć prawdziwych wysiłków, aby przejść i uwolnić się od przekupek, które chciały go uściskać, wołając:

— Jesteś nareszcie, moje serce, mój mały przyjacielu! Przybywasz więc, mój pieczęszoku! Patrzenie, jaki on ładny, ten gołąbek ze swoją wielką kryzą! Czyż nie wart więcej, niż tamten ze swemi białemi wasami? Chodź, mój synu, przynieś nam dobrego wina, jak dziś rano.

Henryk d'Effiat uścisnął, rumieniać się, rękę

swojego przyjaciela, który kazał śpiesznie pozamykać drzwi. — Ta popularność jest kielichem, z którego trzeba pić—powiedział, wchodząc.

— Zdaje mi się — odparł poważnie de Thou — że pijesz z niego aż do samych mętów.

— Wytlómaczę ci ten zgiełk—odparł Cinq-Mars nieco zakłopotany.—Teraz, jeśli mnie kochasz, ubierz się, aby mi towarzyszyć do królowej.

— Przynależę ci wiele zaślepienia—rzekł radca;—nie może się ono jednak dalej przedłużać w dobrej wierze...

— Jeszcze raz, pomówię z tobą długo za powrotem od królowej. Ale śpiesz się, już wkrótce dzieją się.

— Idę tam z tobą — odparł de Thou, wprowadzając go do swego gabinetu, gdzie się znajdowali hrabia du Lude i Fournier. A sam przeszedł do innej komnaty.

ROZDZIAŁ XVII.

GOTOWALNIA.

Będziemy szukali, jak w przepaściach, starożytnych przywilejów tej szlachty, która od jedenastu wieków jest okryta pyłem, krwią i potem.

Montesquieu.

Karoca wielkiego koniuszego toczyła się szybko ku Luwrowi, gdy zapuściwszy franki, któremi była przybrana, wziął on rękę swego przyjaciela i rzekł do niego ze wzruszeniem:

— Drogi de Thou, chowałem wielkie tajemnice w swoim sercu i wierz mi, ciążyły tam one bardzo; lecz dwie obawy zmuszały mnie do milczenia: obawa twoich niebezpieczeństw i, mamże ci powiedzieć, obawa twoich rad.

— Wiesz jednak dobrze — odparł de Thou — że gardzę pierwszymi, a myślałem, że nie pogardzasz drugimi.

— Nie; ale się ich obawiałem, obawiam się ich jeszcze; nie chcę być zatrzymanym. Nie mów, mój przyjacielu, ani słowa, błagam cię o to, póki nie usły-

szysz i nie zobaczysz tego, co się stanie. Odwiozę cię po wyjściu z Luwru do domu; tam cię wysłucham i pojedę, aby dalej prowadzić swoje dzieło; bo nie mnie nie zachwieje, uprzedzam cię o tem; powiedziałem to tym panom u ciebie przed chwilą.

Cinq-Mars nie miał nic w wyrazie swego głosu z owej szorstkości, jakiej kazałyby się domyślać jego słowa; głos jego był pieszczotliwy, wzrok łagodny, przyjazny i czuły, wyraz twarzy spokojny i zdecydowany oddawna; nie było znać żadnego wysiłku nad samym sobą. De Thou zauważył to i jęknął, wysiadając z nim z pojazdu:—Niestety!

I poszedł za nim, wzdychając, po wielkich schodach Luwru.

Gdy weszli do królowej, oznajmieni przez kamerdynerów czarno ubranych i mających hebanowe laski, ta siedziała przy swjej gotowni. Był to rodzaj stołu z czarnego drzewa, wykładanego szyldkretem, perłową macicą i miedzią i tworzącego nieskończoną ilość rysunków dosyć zepsutego smaku, co nadawało wszystkim sprzętom pozór wspaniałości, dziś jeszcze podziwianej; zwierciadło zaokrąglone w górze (nasze damy wielkiego światka niewątpliwie nazywałyby je małym i lichem), stało tylko na środku stołu; klejnoty i naszyjniki leżały na niem porozrzucane. Anna Austryacka siedziała przed niem w wielkim fotelu z karmazynowego aksamitu, o długich frendzlach, nieruchoma i poważna jak na tronie, podczas gdy donna Stefania i pani de Motteville dotykały z każdej strony bardzo lekko grzebieniem włosów, jakby dla dokończenia uczesania królowej, aczkolwiek nie pozostawiającego nic do życzenia i usianego już perłami. Jasne, długie jej włosy miały odblask niezwykłej piękności, co było oznaką, że przy dotknięciu musiały mieć delikatność i miękkość jedwabiu.

Światło dzienne padało bez zasłony na jej czoło; nie lękało się tego blasku i rzucało prawie mu równy przez swą zadziwiającą białość, którą lubiła świecić w ten sposób. Jej oczy niebieskie z zielonym odcieniem były duże i prawidłowe, a jej usta, bardzo świeże, miały ową dolną wargę księżniczek austriackich, trochę wysuniętą i lekko rozciętą, nakształt wiśni, co można zauważyć jeszcze na wszystkich wizerunkach z tej epoki. Zdaje się, że ich malarze postanowili sobie naśladować usta królowej, aby się podobać może jej frejlinom, pragnącym niewątpliwie być podobnymi do niej. Czarne szaty, przyjęte wówczas na dworze, których krój został nawet ustalony edyktem, podnosiły jeszcze białość jej rąk, po łokcie odsłoniętych i przybranych obficie koronkami, wychodzącymi z szerokich rękawów. Wielkie perły wisały u jej uszów, a bukiet innych pereł większych kołysał się na jej piersi i zapinał w pasie. Tak wyglądała królowa w tej chwili. U jej stóp, na dwóch poduszkach aksamitnych, dziecko czteroletnie bawiło się armatką, psując ją zarazem: był to Delfin, późniejszy Ludwik XIV. Księżniczka Mantuańska siedziała po jej prawicy na taborecie, księżna de Guéméné, księżna de Chevreuse i panna de Montbazon, panny de Guise, de Rohan i de Vendôme, wszystkie piękne lub jaśniejące młodością, stały za królową. We framudze jednego okna brat królewski, z kapeluszem pod pachą, rozmawiał pocichu z człowiekiem wysokiego wzrostu, dosyć otyłym, czerwonym na twarzy, z okiem nieruchomem i śmiałym: był to książę de Bouillon. Oficer, około lat dwudziestu pięciu, smukłej kibici i przyjemnej powierzchowności, doręczył mu przed chwilą jakieś papiery; książę de Bouillon zdawał się tłómaczyć je oficerowi.

Imci pan de Thou, pokłoniwszy się królowej, która powiedziała mu kilka słów, podszedł do księżnej de Guéméné i rozmawiał z nią półgłosem z serde-

czną zażyłością; lecz podczas tego na stronie, baczny na wszystko, co dotyczyło jego przyjaciela i drząc potajemnie, aby jego los nie został powierzony istocie mniej godnej, niżby sobie tego życzył, przyglądał się księżniczce Maryi z tą sumienną uwagą, tem badawczym okiem matki na młodej osobie, którą wybierałaby za towarzyszkę swojego syna, gdyż myślał, że nie była obca zamiarom Cinq-Marsa. Widział z niezadowolaniem, że jej strój, nadzwyczaj świetny, zdawał się udzielać jej więcej próżności, niżby to być powinno dla niej i w takiej chwili. Nieustannie poprawiała sobie na czole i mieszała z pierścieniami swoich włosów rubiny, zdobiące jej głowę, ale nie dorównyujące blaskowi i żywym barwom jej cery; patrzyła często na Cinq-Marsa, lecz było to raczej spojrzanie zalotności, niż miłości i często jej oczy zwracały się ku zwierciadłom gotowalni, aby czuwać nad harmonijnym układem swojej piękności.

Te spostrzeżenia rady zaczęły go przekonywać, że się omylił, każąc na niej ciążyć swoim podejrzeniem, zwłaszcza gdy zobaczył, że zdawała się odczuwać pewną przyjemność w zasiadaniu przy królowej, kiedy inne księżniczki stały za nią i że spoglądała na nie często wyniosłe.

— W tem dziewiętnastoletniem sercu — mówił sobie — miłość byłaby sama, a dzisiaj nadewszystko; więc... to nie ona.

Gdy już dwaj przyjaciele porozmawiali z sobą przez chwilę, królowa skinęła prawie niepostrzeżenie na panią de Guéméné; na ten znak wszystkie damy, z wyjątkiem Maryi Gonzagi, wyszły z komnaty w milczeniu, z głębokimi ukłonami, jakby to było naprzód umówione. Wtedy królowa, odwracając sama swoje krzesło z poręczami, odezwała się do brata królewskiego:

— Mój bracie, proszę cię, chciej łaskawie usiąść tu koło mnie. Będziemy radzili nad tem, co

ci powiedziałam. Księżniczka Marya nie będzie wcale zbyt uczynna, prosiłam ją, aby została. Nie potrzebujemy się zresztą obawiać żadnej przerwy w naszej rozmowie.

Królowa zdawała się swobodniejsza w obejściu i w mowie, i nie zachowując już swojej poważnej i ceremonialnej nieruchomości, dała znak innym obecnym, zapraszając, aby się do niej zbliżyli.

Gaston orleański, nieco zaniepokojony tym uroczystym wstępem, usiadł niedbale z prawej strony królowej i rzekł z półuśmiechem i jakby lekceważeniem, bawiąc się swoją kryzą i łańcuchem św. Ducha, wiszącym na jego szyi:

— Ja myślę, pani, że nie będziemy męczyli uszów tak młodej osoby przez długą rozmowę. Wolałaby ona usłyszeć o tańcu i małżeństwie, o elektorze lub o królu Polski na przykład.

Marya przybrała pogardliwy wyraz twarzy; Cinq-Mars zmarszczył brew.

— Wybacz mi—odpowiedziała królowa, spoglądając na nią. — Zapewniam cię, że polityka obecna zajmuje ją bardzo. Nie próbuj nam się wymknąć, mój bracie! — dodała z uśmiechem. — Trzymam cię dzisiaj! Zacznijmy od wysłuchania imci pana de Bouillon.

Ten zbliżył się, trzymając za rękę młodego oficera, o którym mówiliśmy.

— Muszę najpierw — powiedział — przedstawić Waszej Królewskiej Mości barona de Beauvau, przybywającego z Hiszpanii.

— Z Hiszpanii? — rzekła królowa ze wzruszeniem. — Nie brak w tem odwagi. Czy widziałeś waćpan moją rodzinę?

— Powie wam o niej, również jak o hrabi-księciu d'Olivarès. Co do odwagi, nie po raz pierwszy ją okazuje; wiecie, że dowodził kiryśnikami hrabiego de Soissons.

— Jakto! waćpan, tak młody? lubisz bardzo wojny polityczne?

— Przeciwnie, niech Wasza Królewska Mość mi wybaczy—odpowiedział—gdyż służyłem z „książętami pokoju.”

Anna Austryacka przypomniała sobie o przybranem imieniu zwycięzców Marfei i uśmiechnęła się.

Księżę de Bouillon, korzystając z chwili, aby zagaic wielką rozmowę, jaką miał na widoku, podał Cinq-Marsowi rękę po przyjacielsku i zbliżając się z nim do królowej, rzekł:

— To zadziwiające, pani, że ta epoka wydaje ze swego łona jeszcze wielkie charaktery, jak te na przykład—i wskazał na wielkiego koniuszego, młodego Beauvau, oraz imci pana de Thou.—Tylko w nich możemy odtąd pokładać nadzieję; są one teraz bardzo rzadkie, gdyż wielki stronnik zupełnej równości przeciągnął po Francji długą kosą.

— Czy to o czasie chcesz waćpan mówić—powiedziała królowa—czy o osobie rzeczywistej?

— Zbyt rzeczywistej, nazbyt żyjącej, za długo żyjącej, pani!—odparł księżę, bardziej ożywiony.—Ta niepomiarkowana żądza zaszczytów, to olbrzymie samolubstwo, nie mogą być dłużej znoszone. Każde wielkie serce oburza się na to jarzmo i w tej chwili, bardziej niż kiedykolwiek, dają się widzieć wszystkie nieszczęścia przyszłości. Trzeba to wyznać, pani, nie czas już oszczędzać; choroba króla jest bardzo poważna; chwila myśli i rozwiązania nadeszła, czas bowiem czynu już niedaleki.

Surowy i porywczy ton imci pana de Bouillon nie dziwił Anny Austryackiej; lecz widziała go zawsze zachowującym więcej zimnej krwi i była nieco wzruszona okazywanym jego niepokojem, dlatego też porzuciła żartobliwy ton, jaki chciała z początku sobie nadać.

— A więc, co takiego? Czego się waćpan obawiasz i co chcesz robić?

— Nie obawiam się niczego dla siebie, pani, gdyż armia włoska lub Sedan zabezpieczą mnie zawsze, lecz boję się o was samych i może o waszych synów.

— O moje dzieci, mości księżę, o synów Francji? Czy słyszysz to, mój bracie, czy słyszysz i nie zdajesz się dziwić?

Królowa, mówiąc to, była silnie poruszona.

— Nie, panil — odparł Gaston Orleański nader spokojnie. — Wiesz, że jestem przyzwyczajony do wszelkich prześladowań, spodziewam się wszystkiego ze strony tego człowieka, on jest panem, trzeba się poddać...

— On jest panem! — zawołała królowa. — A od kogoż to ma on tę władzę, jeśli nie od króla? A po królu, jaka ręka podtrzyma go, jeśli łaska? Kto przeskodzi mu zapaść się znów w nicość, czy to wy lub ja?

— To on sam — przerwał imci pan de Bouillon — bo chce siebie ogłosić rejentem i wiem, że w tej godzinie zamyśla porwać ci dzieci i prosić króla, aby jemu powierzył nad nimi opiekę.

— Porwać je mnie? — zawołała matka, chwytając mimowolnie Delfina i biorąc go w swoje ramiona.

Dziecko, stojąc między kolanami królowej, patrzyło na otaczających z powagą niezwykłą w tym wieku, a widząc swoją matkę we łzach, położyło rękę na szpadce, którą nosiło.

— Ach, jaśnie oświecony panie! — rzekł książe de Bouillon, schylając się nawpół, aby wystosować do niego to, co chciał wypowiedzieć królowej — nie przeciw nam trzeba dobyć twojej szpady, ale przeciw temu, co wykorzenia twój tron, przygotowuje ci wielką potęgę bezwzględności, będziesz miał berło samowładne; lecz złamał podtrzymujący je kozioł do broni. Tym

kozłem była twoja stara szlachta, którą on zdziesiątkował. Gdy zostaniesz królem, będziesz wielkim królem, ja to przeczuwam, ale będziesz miał tylko poddanych, a nie przyjaciół, bo przyjaźń jest tylko w niezawisłości i rodzaju równości, powstającej z siły. Twój przodekowie mieli swych „parów,” a ty ich mieć nie będziesz. Niech cię Bóg wtedy wspiera, jaśnie oświecony panie, bo ludzie nie będą mogli tak bez ustaw. Bądź wielki, ale nadewszystko niech po tobie, wielki człowieku, nastąpią zawsze również silni, bo w tym stanie rzeczy, jeśli się jeden z nich potknie, cała monarchia runie!

Książę de Bouillon miał zapał w wymowie i pewnością, jednając sobie tych, co go słuchali. Jego mężstwo, jego rzut oka w bitwach, głębokość jego zapatrywań politycznych, jego znajomość spraw europejskich, jego charakter myślący i stanowczy zarazem, czyniły go jednym z ludzi najzdolniejszych swego czasu, jedynym nawet, którego obawiał się rzeczywiście książe kardynał. Królowa słuchała go zawsze z zafaniem i pozwalała mu mieć rodzaj władzy nad nią. Tym razem była wzruszona silniej niż kiedykolwiek.

— Ach, daj Boże! — zawołała — aby mój syn miał duszę otwartą dla twojej mowy i ramię dość silne, aby z niej korzystał! Do tego czasu będę słuchała, będę działała za niego. To ja powinnam zostać i to ja będę rejentką, nie wyrzeknę się tego prawa, chyba z życiem: jeśli potrzeba wojny, będziemy wojowali, bo zgodzę się na wszystko, z wyjątkiem wstydu i obawy oddania przyszłego Ludwika XIV temu ukorowanemu poddanemu!

Tak powiedziała, rumieniąc się i ściskając silnie ramię młodego Delfina.

— Tak, mój bracie, i wy, mości panowie, radźcie mi, mówcie, gdzie jesteście? Czy potrzeba, abym odjechała? Powiedzcie otwarcie. Jako kobieta, jako małżonka, byłam gotowa do płaczu, tak moje położe-

nie było bolesne; ale teraz, patrzcie, jako matka, nie płaczę; jeśli potrzeba, gotowa jestem wydać wam rozkazy!

Nigdy Anna Austriacka nie zdawała się tak piękną, jak w tej chwili, i ten objawiony przez nią zapał zelektryzował wszystkich obecnych, czekających tylko na jedno słowo z jej ust, aby mówić.

Książe de Bouillon spojrział szybko na brata królewskiego, który odważył się zabrać głos.

— Dalibóg!—rzekł z miną dosyć śmiałą—jeśli wydasz rozkazy, moja siostrze, będę twoim kapitanem gwardyi, na honor; bo dosyć mam udręczeń z powodu tego nędznika, który jeszcze śmie przesładować mnie, aby zerwać moje małżeństwo i trzymać ciągle moich przyjaciół w Bastylii, lub każe mordować ich od czasu do czasu, a zresztą jestem oburzony!—dodał, poprawiając się i spuszczać oczy z miną uroczystą.—Jestem oburzony nędzą ludu.

— Mój bracie!—odparła monarchini—biorę cię za słowo, bo w ten sposób trzeba z tobą postępować, i mam nadzieję, że we dwoje będziemy dość silni; czyń tylko, jak imci pan hrabia de Soissons, a następnie przeżyj swoje zwycięstwo, stań ręką w rękę ze mną, jak zrobiłeś z imci panem de Montmorency, ale przeskocz rów.

Gaston uczuł przycinek, przypomniał sobie o swoim czynie, zbyt znanym, gdy nieszczęsny buntownik z Castelnudary przebył prawie sam szeroki rów i otrzymał z drugiej strony siedemnaście ran, został uwięziony i poniósł śmierć—w oczach brata królewskiego, nieruchomego, jak jego wojsko. Przy szybkiej wymowie królowej nie miał czasu zauważyć, czy użyła tego wyrażenia przysłowiowo, czy też umyślnie, lecz w każdym razie postanowił nie zwracać na nie uwagi, w czym dopomogła mu ona sama, gdy patrząc na Cinq-Marsa, zaczęła mówić dalej:

— Ale przedewszystkiem precz z nagią trwożą! Zdajmy sobie sprawę, gdzie jesteśmy? Mości le Grand, przybywasz od króla, czyż mamy się tak lękać?

D'Effiat przyglądał się nieustannie Maryi Mantuańskiej, której rysy, pełne wyrazu, odmalowywały dla niego wszystkie jej myśli szybciej i tak samo prawie jak słowo. Czytał w nich życzenie usłyszenia jego mowy, zamiar nakłonienia brata królewskiego i królowej, niecierpliwe poruszenie jej nogi było dla niego rozkazem, aby z tem skończyć i przeprowadzić wreszcie całe sprzysiężenie. Czoło jego zbladło i stało się bardziej myślące, skupił na chwilę ducha, bo czuł, że tu ważyły się wszystkie jego losy.

De Thou spojrział na niego i zadrżał, znał go bowiem; chciał mu powiedzieć słowo, jedno słowo, ale Cinq-Mars podniósł już głowę i tak powiedział:

— Nie sędzę, pani, aby król był tak chory, jak ci o tem może powiedziano. Bóg zachowa nam jeszcze długo tego monarchę, mam nadzieję, jestem tego nawet pewny. Cierpi, to prawda, cierpi bardzo, lecz to jego dusza nadewszystko jest chora i to chora nieuleczalnie, podległa chorobie, jakiej nie życzyłyby się największemu swojemu wrogowi, i cały świat litowałby się nad nim, gdyby o niej wiedział. Jednakże koniec jego nieszczęść, chciałem powiedzieć, jego życia, nie będzie dany mu jeszcze długo. Jego niemiec jest czysto duchowa, w jego sercu odbywa się wielka nagła przemiana, chciałby jej dokonać i nie może; czuł od lat wielu gromadzące się w nim słuszne nienawiści do człowieka, dla którego, sędzi, powinien mieć wdzięczność, i właśnie ta walka wewnętrzna między jego dobrocią a gniewem pożera jego duszę. Każdy rok ubiegły złożył mu u stóp z jednej strony prace tego człowieka, z drugiej jego zbrodnie. I oto

dziś te w nim przeważają; król widzi i oburza się, chce karać, lecz się wstrzymuje i opłakuje go najprzód. Gdybyś mogła, pani, widzieć go w takim stanie, wzbudziłby w tobie litość. Widziałem go, jak chwycił za pióro, mające skreślić wyrok jego wygnania, i maczał je w atramencie, aby użyć, do czego? Do złożenia mu w liście życzeń. Wtedy winszuje sobie swojej dobroci, jako chrześcianin, przeklina siebie, jako sędzieja najwyższy, pogardza sobą, jako król, szuka obrony w modlitwie i pogrąża się w rozmyślniach nad przyszłością; lecz wstaje przerażony, gdyż miał widzenie płomieni, na jakie zasługuje ten człowiek i ponieważ nikt nie zna tak dobrze, jak on, tajemnic jego potępienia. Trzeba go słyszeć w owej chwili, jak oskarża siebie o występłą słabość i woła, że sam zostanie ukarany zato, że nie potrafił go ukarać. Moznaby nieraz mniemać, że jakieś cienie rozkazują mu uderzać, gdyż podnosi rękę we śnie. Słowem, pani, burza grzmi w jego sereu, lecz pali tylko je same; piorun nie może z niego wypaść.

— A więc trzeba koniecznie, aby uderzył!—zawołał książę de Bouillon.

— Ten, co się go dotknie, może umrzeć od tego—powiedział brat królewski.

— Lecz jak piękne poświęcenie! — rzekła królowa.

— Jakżebym go uwielbiała!—powiedziała Marya półgłosem.

— To ja nim będę—rzekł Cinq Mars.

— To my nim będziemy — powiedział mu de Thou na ucho.

Młody Beauvau zbliżył się do księcia de Bouillon.

— Czy wasza miłość—rzekł do niego—zapomina o dalszym ciągu?

— Nie, dalibóg, nie zapominam o nim!—odpart tenże pocichu. — A zwracając się do królowej, rzekł:

— Przyjmij, pani, ofiarę imcipana le Grand; potrafi on nakłonić króla łatwiej, niż ty i my; ale przycgotuj się na wszystko, bo kardynał jest zbyt zręczny, aby zaspaa sprawę. Nie wierzę w jego chorobę; nie dowierzam wcale jego milczeniu i nieruchomości, któremi chce od dwóch lat nas przekonać; nie uwierzyłbym nawet w jego śmierć, dopóki bym nie wrzucił głowy jego do morza, jak owego olbrzyma z poematu Ariosta. Spodziewajcie się wszystkiego, śpieszmy się we wszystkim. Przed chwilą przedstawiłem bratu królewskiemu swoje plany; skreśliłem je wam krótkimi słowami: ofiaruję wam Sedan, pani, dla ciebie i twoich jasnie oświeconych synów. Wojsko włoskie jest mi oddane; każę mu powrócić, jeśli trzeba. Imćpan wielki koniuszy jest panem połowy obozu pod Perpignanem; wszyscy starzy hugonoci gotowi są na pierwszy znak powiększyć szeregi: wszystko przygotowane od roku na wszelki wypadek.

— Nie waham się wcale—rzekła królowa—oddać się w wasze ręce dla ocalenia moich dzieci, gdyby król spotkało jakie nieszczęście. Ale w tym planie ogólnym zapominasz o Paryżu.

— Należy on do nas pod każdym względem: lud przez arcybiskupa, nie domyślając się tego, i przez imcipana de Beaufort, który jest jego królem; wojsko przez twoją, pani, i brata królewskiego gwardyę; on też nad wszystkim obejmie dowództwo, jeśli będzie chciał.

— Ja! ja! oh! to stanowczo niemożliwe! nie mam dostatecznej ilości ludzi, i potrzeba mi silniejszego schronienia, niż Sedan—zawołał Gaston.

— Lecz ono jest dostateczne dla królowej—odparł imépan de Bouillon.

— Ah! to bardzo być może, ale moja siostra nie naraża się tak, jak mężczyzna, dobywający szpady. Czy wiecie, że to bardzo śmiała, co my tu robimy?

— Jaktol mając nawet króla za sobą? — powiedziała Anna Austryacka.

— Tak, pani, tak, nie wiadomo, jak długo to może potrwać. Trzeba się zabezpieczyć, i nie zrobię nic bez sojuszu z Hiszpanią.

— Nie rób więc nic — rzekła, rumieniąc się królowa—bo z pewnością nie usłyszę nigdy o nim.

— Ah! pani, to byłoby jednakże rozsądniej, i brat królewski ma słuszość — powiedział książę de Bouillon; — gdyż hrabia-książę de San-Lucar ofiaruje nam siedemnaście tysięcy starego żołnierza i pięćset tysięcy talarów gotówką.

— Co! — zawołała królowa zdziwiona—ośmielono się posunąć tak daleko bez mojego zezwolenia! już umowy z zagranicą!

— Z zagranicą, moja siostrze! czyż mogliśmy przypuszczać, że księżniczka hiszpańska użyje takiego wyrażenia! — odparł Gaston.

Anna Austryacka podniosła się, biorąc Delfina za rękę i opierając się na Maryi:

— Tak, mój bracie—rzekła—jestem Hiszpanką, lecz jestem wnuczką Karola V-go, i wiem, iż ojczyzna królowej dokoła jej tronu. Zostawiam was, mości panowie; radźcie dalej bezemnie; nie wiem już nic od tej chwili.

Zrobiła kilka kroków ku wyjściu, ale widząc Maryę drżącą i zalaną łzami, wróciła.

— Przrzekam wam jednak uroczyście nienaruszoną tajemnicę, ale nie więcej.

Wszyscy byli nieco zakłopotani, wyjąwszy księcia de Bouillon, który, nie chcąc nic utracić ze swoich korzyści, rzekł do niej, kłaniając się z uszanowaniem:

— Jesteśmy wdzięczni za tę obietnicę, pani, i nie pragniemy więcej, przekonani, że po pomyślnym obrocie rzeczy będziesz należała w zupełności do nas.

Nie chcąc się wdawać w wymianę słów, królowa ukloniła się trochę sucho i wyszła z Maryą, rzucającą na Cinq-Marsa jedno z tych spojrzeń, co zawierają jednocześnie wszystkie wzruszenia duszy. Zdało mu się, że czyta w pięknych jej oczach wieczne i nieszcześliwe poświęcenie kobiety, oddanej na zawsze, i czuł, że gdyby kiedykolwiek powziął myśl odstąpienia od swego zamiaru, uważałby siebie za ostatniego z ludzi.

Jak tylko wyszły obie księżniczki, brat królewski rzekł:

— La, la, la, a mówiłem ci, Bouillon, rozgniewasz królowę; ale bo też posunąłeś się za daleko. Nie powiedzą z pewnością na mnie, że byłem chwiejny dziś rano; przeciwnie, okazałem więcej stanowczości, niżbym powinien.

— Jestem przejęty radością i wdzięcznością dla Jej Królewskiej Mości — odparł imépan de Bouillon z miną tryumfującą;—jesteśmy pewni przyszłości. Co teraz uczynisz, mości de Cinq-Mars?

— Powiedziałem waćpanu: nie cofam się nigdy; jakiegokolwiek z tego mogą być następstwa dla mnie, zobaczę się z królem; narażę się na wszystko, aby wymódz na nim rozkazy.

— A traktat hiszpański!

— Tak, ja go...

De Thou schwycił Cinq-Marsa za rękę, i nagle postępując naprzód, powiedział z miną uroczystą:

— Postanowiliśmy, że zostanie podpisany po widzeniu się z królem, gdyż, jeśli słuszna surowość Jego Królewskiej Mości względem kardynała pozwoli wam na to, lepiej, pomyśleliśmy, nie narażać się na ujawnienie tak niebezpiecznego traktatu.

Imćpan de Bouillon zmarszczył brew.

— Gdybym nie znał imćpana de Thou — rzekł — uważałbym to za wybieg; lecz z jego strony...

— Mościpanie — odparł radca — sądzę, że mogę zobowiązać się słowem honoru robić to, co będzie robił imćpan le Grand; jesteśmy nierozłączni.

Cinq-Mars spojrział na swego przyjaciela i zdziwił się, widząc na jego łagodnej twarzy wyraz ponurej rozpacz; zrobiło to na nim takie wrażenie, że nie miał siły mu zaprzeczyć.

— Ma słuszność, mościpanowie — rzekł tylko z uśmiechem zimnym, lecz wdzięcznym — król oszczędzi nam może wielu rzeczy; mając go za sobą, będziemy bardzo silni. Zresztą, jasnie oświecony panie, i wy, mości książę — dodał z niezachwianą stanowczością — nie obawiajcie się, abym cofnął się kiedykolwiek; spaliłem za sobą wszystkie mosty: muszę iść naprzód; potęgą kardynała upadnie, lub moja głowa.

— To szczególne, to bardzo szczególne! — powiedział brat królewski — uważam, że wszyscy tu posunęli się dalej, niżli sądziłem w sprzysiężeniu.

— Bynajmniej, jasnie oświecony panie — rzekł książę de Bouillon — przygotowano tylko to, co bę-

dziecie chcieli przyjąć. Zważcie, że niema nic na piśmie i że wystarczy jedno wasze słowo, aby nic nie istniało i nie było istniało; stosownie do waszego rozkazu, wszystko to stanie się snem lub wulkaniem.

— No, no, jestem zadowolony, ponieważ tak jest — odparł Gaston; — zajmijmy się czemś przyjemniejszym. Bogu dzięki, mamy trochę czasu przed sobą: przyznaję, że chciałbym, aby wszystko już było skończone; nie jestem wcale stworzony do silnych wzruszeń, to szkodzi memu zdrowiu — dodał, biorąc za rękę imćpana de Beauvau — powiedz nam, czy Hiszpanki są zawsze ładne, młodzieńcze. Mówią, że jesteś bardzo zalotny. Dalifur! jestem pewien, że mówiono tam o tobie. Powiadają, że kobiety noszą ogromne vertugadiny! Ja zaś nie jestem wcale ich przeciwnikiem. Przez nią bowiem noga wydaje się mniejsza i ładniejsza; jestem pewien, że żona don Ludwika de Haro nie jest piękniejsza od pani de Guéménée, nieprawdaż? No, bądź otwarty, mówiono mi, że wygląda na zakonnice. Ah!... nie odpowiadasz, jesteś zakłopotany... wpadła ci w oko... albo raczej boisz się obrazić naszego przyjaciela, imćpana de Thou, przez porównanie jej z piękną Guéménée. A więc mówmy o zwyczajach: król ma ślicznego kartą, nieprawdaż? kładą go do pasztetu. Jaki ten król hiszpański szczęśliwy! nie mogłem nigdy znaleźć takiego, jak on ma. A królowa, służą jej zawsze na kolanach, nieprawdaż? Oh! to dobry zwyczaj; myśmy go utracili; to źle, gorzej, aniżeli sądzą.

Gaston Orleański miał odwagę przemawiać tym tonem blisko pół godziny z rzędu do imćpana de Beauvau, chociaż poważny charakter tego młodzieńca nie licował wcale z tą rozmową: przejęty całkiem jeszcze ważnością rozegranej przed chwilą w jego oczach sceny i roztrząsanych wielkich spraw, nie od-

powiedział nic na ten nawał próżnych wyrazów i patrzył na księcia de Bouillon ze zdziwieniem, jakby go zapytując, żali tego to człowieka miano postawić na czele najśmielszego zamachu, powziętego oddawna, podczas gdy książę, nie racząc zauważyć, że pozostawał bez odpowiedzi, często sam je dawał, i mówił płynnie, przechadzając się i ciągnąc go ze sobą po komnacie. Lękał się, aby który z obecnych nie odważył się wrócić do zaczętej straszliwej rozmowy o traktacie; lecz nikt się o to nie kusił, chyba tylko książę de Bouillon, zachowujący jednak milczenie ztego humoru. Co do Cinq-Marsa, tego wprowadził de Thou, uwalniając go od tej paplaniny, bez zwrócenia na to widocznej uwagi brata królewskiego.

ROZDZIAŁ XVIII.

TAJEMNICA.

A społem wymówione, dla przyjaźni wiernej
Przykładem będą nasze bratnie dwa imiona.
A. Soumet, *Klitemnestra*.

De Thou był w domu ze swoim przyjacielem; drzwi jego komnaty starannie zamknięto, a wydany rozkaz zalecał nie przyjmować nikogo i wytłómaczyć go przed dwoma przyjętymi w gościnę zbiegami, gdyby odjechali bez pożegnania; dwaj przyjaciele nie przemówili do siebie jeszcze ani słowa.

Radea padł na swój fotel i rozmyślał głęboko; Cinq-Mars, siedząc przed wysokim kominkiem, oczekiwał z nianą poważną i smutną końca tego milczenia, gdy de Thou, skrzyżowawszy ręce i wpatrując się weń uporeczywie, rzekł ponurym głosem:

— Oto więc, do czego doszedłeś! oto więc następstwa twojej żądy dostojenstw! Każesz wywołać z kraju, może zabić, jednego człowieka, a wprowadzisz do Francji wojsko cudzoziemskie; zostaniesz te-

dy mordercą i zdrajcą swojej ojczyzny! Jaką drogą do tego doszedłeś? po jakich stopniach zeszedłeś tak nisko?

— Kto inny nie mówiłby do mnie dwa razy w ten sposób — odparł Cinq-Mars zimno; — ale znam ciebie, i wolę to wyjaśnienie; pragnąłem go i wywołałem. Ujrzysz dziś całą moją duszę, ja tego chcę. Miałem z początku myśl inną, lepszą być może, godniejszą naszej przyjaźni, przyjaźni, zajmującej drugie miejsce na ziemi.

To mówiąc, wznosił oczy ku niebu, jakby tam szukał tego bóstwa.

— Tak, to byłoby lepsze. Nie chciałem nic mówić; było to zadanie trudne, lecz jak dotąd, udawało mi się. Chciałem przeprowadzić wszystko bez ciebie i nie pokazywać ci tego dzieła, aż będzie skończone; chciałem utrzymać cię zawsze po za obrębem moich niebezpieczeństw; ale, mam-że ci wyznać moją słabość? Boję się umrzeć, będąc źle osądzonym przez ciebie, jeśli mam umrzeć: zniosę przekleństwo świata, ale nie twoje; oto co mnie skłoniło do wyznania ci wszystkiego.

— Jaktó! i gdyby nie ta myśl, miałbyś odwagę kryć się przedemną zawsze! Ah! drogi Henryku! co ci uczyniłem, abyś troszczył się tak o moje życie? Czemu zasłużyłem, aby cię przeżyć, gdybyś umarł? Miałeś siłę oszukiwać mnie przez dwa lata blisko; pozwalałeś mi widzieć w twojem życiu tylko jego kwiaty; wchodziłeś do mej pustelni tylko z wesołem obliczem i za każdym razem zaszczycony nowemi względami? Ah! to musiało być bardzo występne lub bardzo ucziwe!

— Chciej widzieć jeno to w mojej duszy, co ona zawiera. Tak, oszukałem ciebie; lecz była to jedyna cicha radość, jaką miałem na świecie. Prze-

bacz mi, że ukryłem te chwile mego żywota, niestety! tak świetnego. Byłem szczęśliwy szczęściem, o jakie mnie posadzałeś; w tym śnie budowałem twoje; i dopiero dziś jestem winny, przychodząc, aby je zburzyć i ukazać siebie takim, jakim byłem. Posłuchaj mnie, nie będę rozwlekł: dzieje namiętnie zakochanego serca są zawsze bardzo proste. Niegdyś przypominam sobie, było to pod namiotem, gdy zostałem raniony: moja tajemnica o mało mi się nie wymknęła; byłoby to szczęście może. Jednakże na co zdałyby mi się rady? jabym ich nie usłuchał; jednym słowem, kocham Maryę Gonzagę.

— Co! tę, która ma zostać królową Polski?

— Jeśli zostanie królową, to chyba po mojej śmierci. Lecz słuchaj: dla niej byłem dworakiem; dla niej prawie panowałem we Francji i dla niej to ulegnę i może umrę.

— Umrę! ulegnę, kiedy ci wyrzucałem twój tryumf! kiedy płakałem nad smutnem twojem zwycięstwem!

— Ah! jakże znasz mnie mało, jeśli sądzisz, że daję się oszukać fortunie, gdy uśmiecha się do mnie; jeśli sądzisz, że nie zajrzałem do głębi mego przeznaczenia! Ja walczę przeciw niemu, lecz ono jest silniejsze, ja to czuję; podjąłem zadanie nad siły ludzkie, ulegnę.

— Eh! czyż nie możesz się zatrzymać? Do czego służy spryt w sprawach świata?

— Do niczego, chyba tylko, aby zgubić siebie ze świadomością przyczyny, aby ledz w dniu przewidzianym. Nie mogę cofnąć się wreszcie. Kiedy się ma przed sobą nieprzyjaciela takiego, jak ten Richelieu, trzeba go powalić, lub zostać przez niego zdruzgotanym. Jutro zadam ostatni cios; czyż nie zobowiązałem się do niego wobec ciebie przed chwilą?

— To zobowiązanie chciałem właśnie zwalczyć. Jakie zaufanie pokładasz w tych, którym w ten sposób oddajesz swe życie? Czyż nie odgadłeś ich myśli tajemnych?

— Znam je wszystkie; widziałem ich nadzieję w udanym ich gniewie; wiem, że drżą, grożąc; wiem, że są już gotowi zawrzeć pokój, oddając mnie, jako zakładnika; lecz do mnie należy ich podtrzymać i nakłonić króla, to konieczne, gdyż Marya jest moją narzeczoną, a moja śmierć postanowiona w Narbonne.

Dobrowolnie, ze świadomością swego losu, stanąłem tym sposobem między rusztowaniem a najwyższym szczęściem. Muszę je wyrwać z rąk fortuny, lub umrzeć. Doznaję w tej chwili przyjemności, żem zerwał z wszelką niepewnością; i cóż? nie rumienisz się, żeś sądził, iż jestem żądny zaszczytów przez brzydkie samolubstwo, jak ten kardynał, ambitny przez śmieszne pragnienie władzy, nigdy nienasyconej? Jestem żądny dostojęństw, ale dlatego, że kocham. Tak, kocham, i wszystko mieści się w tem słowie. Lecz oskarżam cię niestusznie; wpiększyłeś tajemne moje chęci, pomogłeś mi w szlachetnych zamiarach, przypominam to sobie, w wysokich pomyślach politycznych; są one piękne, rozległe, być może; lecz mamże ci powiedzieć, że te nieokreślone zamysły udoskonalenia społeczeństw zepsutych zdają mi się pełzać jeszcze bardzo nisko wobec poświęcenia miłości? Gdy cała dusza drga, pełna tej myśli jedynej, niema w niej już miejsca dla najpiękniejszych obrachowań spraw powszechnych, gdyż nawet wyniosłości ziemi są poniżej nieba.

De Thou schylił głowę.

— Co ci odpowiedzieć? — rzekł. — Nie rozumiem cię; tłómaczysz nierząd, ważysz płomień, obliczasz błąd.

— Tak — odparł Cinq-Mars — nie rozpraszać

bynajmniej moich sił, ten ogień wewnętrzny je rozwinał; dobrze powiedziałeś, wszystko obliczyłem; powoli zmierzałem do celu, który gotów jestem osiągnąć. Marya trzymała mnie za rękę, czyż mogłem się cofnąć? Wobec świata nie zrobiłbym tego. Dość wszystko szło dobrze, lecz niewidzialna zapora mnie wstrzymuje; muszę złamać tę zaporę; jest nią Richelieu. Podjąłem się tego przed chwilą wobec ciebie; ale być może zanadto się pośpieszyłem, teraz w to wierzę. Niechaj się cieszy; czekał u mnie. Przewidział on bezwątpienia, że to młodszemu zabraknie cierpliwości; jeśli tak jest, grał dobrze. Jednakże gdyby nie miłość, co mnie przynagliła, byłbym silniejszy od niego, chociaż uciążliwy.

Tu rysy Cinq-Marsa zmieniły się prawie nagle zarumienił się i zbladł dwukrotnie, a żyły jego czoła podnosiły się jak błękitne linie, nakreślone niewidzialną ręką.

— Tak—dodał, wstając i załamując ręce z siłą, zdradzającą straszną rozpacz, ześrodkowaną w jego sercu — wszystkie męki, jakimi może miłość dręczyć swe ofiary, noszę w swoim łonie. Ta niesmiała dziewczeczka, dla której poruszyłbym mocarstwa, dla której wszystko zniósłem, aż do łaski panującego, a która może nie odczuła wszystkiego, co dla niej zrobiłem, nie może być jeszcze moją. Ona należy do mnie w obliczu Boga, ja zaś udaję przy niej obcego; co mówię? muszę słyszeć, jak roztrzasa ją codzien, w mojej obecności, który z tronów Europy byłby dla niej najodpowiedniejszy, i nie mogą nawet podnieść głosu, aby wyrazić zdanie, bo nikomu nie przyjdzie do głowy zaliczać mnie do spółubiegających się o nią; wszyscy uznają przecież za niegodnych jej ręki książąt krwi królewskiej, idących jeszcze przedemną. Muszę ukrywać się jak winowajca, aby słyszeć poprzez kraty głos tej, co jest moją żoną; muszę

wobec wszystkich bić czołem przed nią, być jej kochankiem i mężem w ukryciu, a jej służącym jawnie! Tego za wiele! Nie mogę żyć w ten sposób; muszę uczynić ostatni krok, aby mnie wywyższył lub stracił w przepaść!

— A więc dla osobistego twego szczęścia chcesz obalić państwo?

— Szczęście państwa zgadza się z mojem. Zrobię to mimochodem, jeśli zmiążdżę tyrana króla. Wstręt, jakim przejmuję mnie ten człowiek, przeszedł w moją krew. Niegdyś, jadąc do niego, spotkałem na drodze największą jego zbrodnię, morderstwo i tortury Urbana Grandier; Richelieu, to zły duch nieszczęsnego króla, ja go wypędzę: mógłbym się stać dobrym geniuszem Ludwika XIII; była to jedna z myśli Maryi, jej myśl najdroższa. Lecz zdaje mi się, że nie będę tryumfował w udręczonej duszy króla.

— Na cóż więc liczysz? — zapytał de Thou.

— Na los szczęścia. Jeśli jego wola może tym razem trwać kilka godzin, wygrałem; to ostatnia rachuba, od której zależy moja przyszłość.

— I twojej Maryi!

— Uwierzyłeś temu! — zawołał Cinq-Mars gwałtownie. — Nie, nie! jeśli on mnie opuści, podpiszę traktat hiszpański i wojnę.

— Ah! jakaż ohyda! — rzekł radca — jaka wojna! wojna domowa i przymierze z zagranicą!

— Tak, zbrodnia — odparł Cinq-Mars zimno. — Ehl czyż prosiłem cię, abys w niej wziął udział?

— Okrutny! niewdzięczny! — zawołał jego przyjaciel. — Czy możesz mówić do mnie w ten sposób? Czy nie wiesz, czyż nie dowiodłem ci, że przyjaźń zajmuje w mojem sercu miejsce wszystkich namiętności? Czyż mogę przeżyć nie tylko twoją śmierć, ale

nawet najmniejsze z twoich nieszczęść? Tymczasem pozwól, abym cię przekonał i odwiódł od podniesienia ręki na Francję. O, mój przyjacielu! mój jedyny przyjacielu! zaklinam cię na kolanach, nie przelewajmy tak krwi bratniej, nie bądźmy mordercami naszej ojczyzny! Mówię w liczbie mnogiej, bo nigdy nie rozłączę się z tobą w czynach; zachowaj mi szacunek samego siebie, dla którego tyle pracowałem; nie kalaj mego życia i śmierci, które tobie poświęciłem.

De Thou upadł do kolan swego przyjaciela, a ten, nie mając już siły zachować udanej obojętności, rzucił się w jego ramiona, podnosząc go, a przyciskając do piersi, rzekł do niego przytłumionym głosem;

— I dlaczego kochasz mnie tak bardzo, powiedz? Co uczyniłeś, przyjacielu? Dlaczego mnie kochasz? ty, co jesteś tak rozumny, czysty i uczciwy; ty, którego nie obłąkały szalona namiętność i chęć zemsty? ty, którego dusza jest karmiona tylko religią i wiedzą, dlaczego mnie kochasz? Co ci dała moja przyjaźń? ileż niepokoju i cierpień. Czyż teraz mają z jej powodu ciążyć nad tobą niebezpieczeństwa? Rozstań się ze mną, nie jesteśmy już tego samego usposobienia; widzisz, dwory mnie zepsuły: nie mam już prostoty ducha, straciłem już dobroć serca: myślę nad zgubą jednego człowieka, umiem oszukiwać przyjaciela. Zapomnij o mnie, pogardzaj mną; nie jestem już wart jednej z twoich myśli, jakże byłbym godzien twoich niebezpieczeństw?

— Przysięgając mi, że nie zdradzisz króla i Francji — odparł de Thou. — Czy wiesz, że tu idzie o podział twojej ojczyzny? czy wiesz, że jeśli wydasz nasze warownie, nie oddadzą ci ich nigdy? czy wiesz, że twe imię będzie wywoływało zgrozę u potomności? czy wiesz, że matki francuskie je przeklną, gdy będą zmuszone uczyć swoje dzieci obcego języka? czy wiesz o tem? Chodź.

I pociągnął go w stronę popiersia Ludwika XIII.

— Przysięgnij przed nim, a on jest także twoim przyjacielem! przysięgnij, że nie podpiszesz nigdy tego haniebnego traktatu.

Cinq-Mars spuścił oczy i z nieprzełamaną zaciętością odpowiedział, rumieniając się:

— Powiedziałem ci: jeśli mnie do tego zmuszą, podpiszę.

De Thou zbladł i puścił jego rękę; przeszedł dwukrotnie komnatę ze skrzyżowanymi rękoma, z niewysłowionem ściśnieniem serca. W końcu zbliżył się uroczyście do popiersia swego ojca i otworzył wielką księgę, umieszczoną u stóp popiersia; poszukał strony już zaznaczonej i przeczytał na głos:

„Myślę więc, że imćpan de Ligneboeuf został sprawiedliwie skazany na śmierć przez parlament miasta Rouen za to, że nie odkrył spisku Catterille'a przeciwko państwu”.

Poczem, trzymając z uszanowaniem otwartą księgę w rękę i wpatrując się w wizerunek prezydenta de Thou, którego trzymał pamiętniki:

— Tak, mój ojcze — mówił dalej — dobrze myślałeś, zostanę zbrodniarzem, będę zasługiwał na śmierć; ale czyż mogę uczynić inaczej? Nie doniosę o tym zdrajcy, gdyż to byłoby także zdradą, ponieważ on jest moim przyjacielem i ponieważ jest nieszcześliwy.

Następnie, zbliżając się do Cinq-Marsa i biorąc go nanowo za rękę:

— Robię wiele przez to dla ciebie — rzekł do niego; — lecz nie spodziewaj się niczego więcej ode mnie, mości panie, jeśli podpiszesz ten traktat.

Cinq-Mars był wzruszony aż do głębi serca tą sceną, gdyż odczuwał wszystko, co musiał cierpieć jego przyjaciel, odtrącając go od siebie. Jednakże

powściągnął jeszcze łzę, wymykającą mu się z oczów i odrzekł, ściskając go serdecznie:

— Ah! de Thou, jesteś zawsze równie doskonały; tak, oddajesz mi przysługę, oddalając się ode mnie, bo gdyby twój los był związany z moim, nie śmiałbym rozporządzać swoim życiem i wahałbym się poświęcić je w razie potrzeby; lecz teraz uczynię to z pewnością i powtarzam ci jeśli mnie do tego zmuszą, podpiszę traktat z Hiszpanią!

ROZDZIAŁ XIX.

Ł O W Y.

Powinien zawsze dzięki składać przedwodniej swojej gwieździe ten, co może opuścić ludzi, nie będąc zmuszonym źle im czynić i ogłosić się ich nieprzyjacielem.

Ch. Nodier, Jan Sbogar.

Tymczasem choroba króla rzucała Francję w odmet, jaki odczuwają zawsze państwa źle umocnione przy zbliżaniu się śmierci panującego. Chociaż Richelieu był duszą monarchii, rządził jednak tylko w imieniu Ludwika XIII i jakby opromieniony blaskiem tego imienia, przez siebie wywyższonego. Jakkolwiek miał nieograniczoną władzę nad swym panem, obawiał się go przecież; a ta obawa zabezpieczała naród przeciw jego ambitnym pragnieniom, dla których nawet król był niewzruszoną zaporą. Lecz w razie śmierci tego monarchy, co uczyniłby rozkazujący minister? gdzie zatrzymałby się ten człowiek, co się na tyle ważył? Przywykłemu do kierowania berłem, kto przeszkodziłby dzierżyć je zawsze i samemu swojem imieniem podpisać prawa, jakie sam podyktował? Te obawy

poruszały wszystkie umysły. Lud szukał napróżno na całej powierzchni królestwa tych olbrzymów szlachty, u których stóp miał zwyczaj szukać schronienia w czasach burz politycznych, widział już tylko świeże ich mogiły; parlamenty były nieme i odczuwano, że nie się nie oprze potwornemu wzrostowi tej władzy przywłaszczonej. Nikt nie dał się zupełnie oszukać tym udanym cierpieniem ministra, nikt nie był wzruszony tem obłudnem nadzieją, zbyt często oszukującym powszechną nadzieję i oddalenie nie przeszkadzało odczuwać ciężącego wszędzie palca straszliwego parweniusza.

Miłość ludu budziła się także dla syna Henryka IV; śpieszono do kościołów, modlono się i nawet płakano bardzo. Nieszczęśliwi monarchowie są zawsze kochani. Melancholia Ludwika i tajemnicza jego boleść zaciekawiły całą Francję i choć żył jeszcze, już go żałowano, jakby każdy pragnał otrzymać zwierzanie jego męk, zanim zabierze z sobą wielką tajemnicę tego, co cierpią ci ludzie, umieszczeni tak wysoko, że w swojej przyszłości widzą dla siebie tylko grób.

Król, chcąc uspokoić cały naród, kazał obwieścić chwilowe przywrócenie swojego zdrowia, i postanowił, aby dwór przygotował się do wielkich łowów w Chambord, dobrach królewskich, dokąd zapraszał go brat, książę Orleański.

To piękne pomieszkowanie było ulubionem schronieniem króla, niewątpliwie dlatego, że odpowiednio do jego osoby, łączyło, jak on, wspaniałość ze smutkiem. Często przepędzał tam całe miesiące, nie widząc zgoła nikogo, czytając i odczytując nieustannie tajemnicze papiery, pisząc nieznanne rzeczy, które zamykał w żelaznej szkatułce, sobie tylko jednemu wiadomej. Czasami lubił mieć na swe rozkazy jednego tylko służącego, zapominając w ten sposób o sobie przez nieobecność swego orszaku, i żyć przez pewien

czas, jak człowiek ubogi, lub jak wygnany obywatel, przedstawiając sobie z upodobaniem nędzę lub przesładowanie, ażeby odetchnąć od godności królewskiej. Innego dnia, zmieniając nagle myśl, chciał żyć w samotności zupełniejszej, i gdy zabronił przystępować do siebie wszelkiej istocie ludzkiej, ubrany w habit mnicha, zamykał się w sklepionej kaplicy; tam odczytując żywot Karola V-go, wyobrażał sobie, że jest w klasztorze Św. Justa i śpiewał nad sobą samym ów hymn do śmierci, który, powiadają, sprowadził ją niegdyś na głowę cesarza hiszpańskiego. Ale pośród tych śpiewów i tych rozmyślań nawet, jego słaby umysł był ścigany i odrywany przez obrazy przeciwnej natury. Nigdy świat i życie nie zdawały mu się tak piękne, jak w samotności i w pobliżu grobu. Między jego oczyma a stronicami, które usiłował odczytywać, przechodziły świetne orszaki, wojska zwyczajne, ludy uniesione miłością; widział siebie potężnym, walczącym, tryumfującym, uwielbianym; a jeśli promień słońca padł na niego poprzez witraże, wstając nagle od stóp ołtarza, czuł się uniesiony pragnieniem dnia lub wielkiego powietrza, które go wyrwało z tych miejsc ponurych i dusznych; lecz, wróciwszy do życia, znajdował w niem znów niesmak i nudę, gdyż pierwsi napotkani ludzie przypominali mu jego władzę przez swoje oznaki uszanowania. Wtedy to wierzył w przyjaźń i przywoływał ją do siebie, ale zaledwie był pewien, że posiada ją prawdziwie, wielki niepokój ogarniał nagle jego duszę; była to wątpliwość zbyt silnego przywiązania do istoty odwracającej go od czci Bożej, lub częściej jeszcze tajemny wyrzut zbytniego oddalania się od spraw państwa; przedmiot jego chwilowego przywiązania zdawał mu się wtedy istotą samowładną, odrywającą go swą potęgą od jego obowiązków; tworzył sobie urojony łańcuch i skarżył się wewnętrznie, że jest uciemężony; lecz, na nieszczęście swych ulubieńców, nie miał

siły objawić przeciwko nim swoich uraz przez gniew, któryby ich ostrzegł; a pieszcząc ich w dalszym ciągu, rozżarzał przez ten przymus tajemny ogień swego serca i przywodził je aż do nienawiści; bywały chwile, że przeciwko nim zdolny był do wszystkiego.

Cinq-Mars znał doskonale słabość tego umysłu, nie mogącego utrzymać się stale w żadnych granicach, oraz słabość tego serca, nie mogącego ani kochać, ani nienawidzić zupełnie; więc też stanowisko ulubieńca, będące przedmiotem zazdrości całej Francji, a nawet wielkiego ministra, było tak chwiejne i tak bolesne, że gdyby nie miłość dla Maryi, złałaby swój złoty łańcuch z większą radością, niżby ją odczuł w swoim sercu złoczyńca skazany do ciężkich robót, widząc, że spada ostatni pierścień, piętowany przezeń od dwóch lat stalową sprężyną, ukrytą w jego ustach.

Ta niecierpliwość, ażeby skończyć z losem widzianym tak zbliżka, przyspieszyła wybuch tej miny, starannie kopanej, jak to wyznał swemu przyjacielowi; lecz jego położenie było wtedy położeniem człowieka, co stojąc przy księdze życia, widziałby codzień wyciągniętą rękę, mającą w niej kreślić jego potępienie lub jego zbawienie. Pojechał z Ludwikiem XIII-go do Chambord, postanowiwszy korzystać z pierwszej sposobności, sprzyjającej jego zamiarom. Sposobność ta nadarzyła się.

Wczesnym rankiem, w dniu naznaczonym na łowy, król kazał mu powiedzieć, że oczekuje go na schodach Lillii; nie będzie może zbyt cennym pomówić o tej zadziwiającej budowli.

O cztery mile od Blois, o godzinę drogi od Loary, w małej dolinie bardzo niskiej, między błotnistymi bagnami a lasem wielkich dębów, w oddaleniu od wszelkich dróg, spotyka się nagle zamek królewski, albo raczej czarodziejski. Rzeczy można, że zmuszo-

ny przez jakąś cudowną lampę, geniusz Wschodu porwał go podczas jednej z tysięcy nocy i wykradł krainie słońca, ażeby ukryć w krainach mgły razem z miłością pięknego księcia. Ten pałac jest zagrzebany jak skarb; ale wobec jego niebieskich kopuł, wobec jego zgrabnych minaretów, zaokrąglonych na szerokich murach lub strzelających w powietrze, wobec jego długich tarasów panujących nad lasami, wobec jego lekkich strzał, przez wiatr kołysanych, wobec jego półksiężyców, przepłatających wszędzie krążanki, możnaby sądzić, że się jest w królestwach Bagdadu lub Kaszmiru, gdyby zeczerniałe mury, ich kołbierce z mehu i bluszczu, oraz blada i melancholijna barwa nieba nie świadczyły o kraju słotnym. Wistocie, geniusz wznosił te budowle; lecz przybył z Włoch i nazywał się le Primatice; wistocie piękny księżę ukrywał tu swoje kochanie; ale był królem i nazywał się Franciszkiem I. Jego salamandra rozrzuciła po nich wszędzie swoje płomienie; iskrzy się tyśiątkrotnie na sklepieniach, i pomnaża na nich swoje płomienie, jak gwiazdy nieba; podtrzymuje kapitele ognistą swoją koroną; zabarwia witraże swoim ogniem; wije się wzdłuż potajemnych schodów i wszędzie zdaje się pożerać płomiennym swoim wzrokiem potrójny półksiężyc tajemniczej Dyany, owej Dyany de Poitiers, po dwakroć bogini i podwakroć czechonej w tym rozkosznym lesie.

Lecz podstawa tego niezwykłego pomnika jest jak on pełna wykwintu i tajemniczości; jest to podwójna klatka schodowa, wznosząca się w dwóch liniach ślimakowych, splecionych od najodleglejszych fundamentów gmachu aż ponad najwyższe dzwonnice i zakończona latarnią lub powietrznikiem, uwiecznionym olbrzymim kwiatem lilii, widocznej z bardzo daleka; dwóch ludzi może tam wejść jednocześnie, nie widząc się wzajemnie.

Te schody same w sobie zdają się małą świą-

tynią odosobnioną; jak nasze kościoły, są one podtrzymane i osłonięte arkadami swoich skrzydeł wąskich, przezroczyстых i, że się tak wyrazimy, przezroczyście haftowanych. Możnaby sądzić, że kamień powolny ugiął się pod palcem budowniczego; zdaje się on, jeśli wolno tak powiedzieć, ukształconym według zachcianek jego wyobraźni. Trudno zrozumieć, jak zostały skreślone ich plany i w jakich wyrazach zostały robotnikom wydane rozkazy; zdaje się to ulotną myślą, świetnem marzeniem, przyobleczonem nagle w trwałe ciało; to sen urzeczywistniony.

Cinq-Mars wchodził wolno po szerokich stopniach, mających prowadzić go do króla, i zatrzymywał się wolniej na każdym, w miarę jak się zbliżał, bądź z powodu, że mu się sprzykrzyło rozmawiać z tym monarchą, od którego musiał codzień nasłuchiwać się nowych skarg, bądź dlatego, aby pomyśleć o tem, co miał uczynić, gdy dźwięk gitary uderzył jego uszy. Poznał ukochane narzędzie muzyczne Ludwika, oraz jego głos smutny, słaby i drżący, co płynął pod sklepieniami; zdawał się próbować jeden z tych romansów, które sam tworzył, i powtarzał wielokrotnie wahającą się ręką niedokończoną piosenkę. Nie można było odróżnić słów; dochodziły do ucha niektóre tylko wyrazy, jak: opuszczenie, tęsknota za światem i piękny płomień.

Młody ulubieniec wzruszył ramionami, słuchając:

— Jakaż nowa troska opanowała cię? — rzekł; — zobaczmy, czytamy jeszcze raz w tem sercu złodowaciałem, któremu się zdaje, że czegoś pragnie.

Wszedł do wąskiego gabinetu.

W czarnym stroju, nawpół leżąc na szeslongu i z łokciami opartymi na poduszkach, król dotykał, jakby w omdleniu, strun swojej gitary; przestał nucić, spostrzegłszy wielkiego koniuszego i, podnosząc na niego wielkie swoje oczy, jakby z wyrzutem, kołysał

długo głową, zanim przemówił; poczem płaczącym i nieco przesadnym tonem zawołał:

— Czegoż to się dowiedziałem, Henryku? — zawołał. — Czegoż to się dowiedziałem o twojem postępowaniu? Jakaż mi sprawiasz przykrość, zapominając o wszystkich moich radach! Zawiązałeś występna intrygę, czyż to po tobie winienem być spodziewać się podobnych rzeczy, po tobie, którego miłość synowska, uczciwość, tak do mnie przywiązały?

Pełen myśli o swych politycznych zamiarach, Cinq-Mars widział się odgadniętym i nie mógł się obronić od chwilowego zmieszania, lecz stając się zupełnie panem samego siebie, odparł bez najmniejszego wahania:

— Tak, najjaśniejszy panie, i miałem ci o tem oznajmić. Przywykłem otwierać ci swoją duszę.

— Mnie o tem oznajmić! — zawołał Ludwik XIII, rumieniąc się i blednąc, jak w dreszczach gorączki. — Imci pan śmiałyś skalać moje uszy temi okropnemi zwierzeniami! I tak spokojnie mówisz o swem rozprzężeniu! Wiesz, zasługiwałeś na galery, jak Roudin, dopuściłeś się zbrodni obrazy majestatu przez swój brak wiary dla mnie. Wolałbym, abyś został fałszerzem monety, jak margrabia de Coucy, lub stanął na czele Gałganów, niżli robił to, coś uczynił, hańbisz swoją rodzinę i pamięć marszałka, swego ojca.

Cinq-Mars, widząc się zgubionym, zachował się jak mógł najspokojniej i rzekł z wyrazem rezygnacji:

— A więc, najjaśniejszy panie, każ oddać mnie pod sąd i skazać na śmierć, lecz oszczędź mi swoich wyrzutów.

— Żartujesz sobie ze mnie, szlachetko zagrodowy? — odparł Ludwik. — Wiem bardzo dobrze, że nie zasłużyłeś na karę śmierci wobec ludzi, ale Bóg osądzi waćpana.

— Dalibóg, najjaśniejszy panie! — odparł popędliwy młodzieniec, dotknięty obelgą — dlaczego nie pozwoliłeś mi wrócić do mej zagrody, którą tak pogardzasz, jak to chciałem uczynić sto razy? Pojadę tam; nie mogę znieść życia, jakie przy was prowadzę, anioby tu nie wytrzymał. Jeszcze raz każ mnie sądzić, jeśli jestem winny, lub ukryć się w Turenii. To ty, panie, zgubiłeś mnie, przywiązując do swej osoby. Jeśli dałeś mi powziąć nadzieje zbyt wielkie, jest-że to moja wina? Poco zrobiłeś mnie, panie, wielkim koniuszym, jeśli nie miałem iść dalej? Wreszcie, czy jestem twoim przyjacielem, czy nie jestem? a jeśli nim jestem, czyż nie mogę być księciem, parem, a nawet wielkim hetmanem tak dobrze, jak imci pan de Luynes, którego tak lubiłeś dlatego, że ci wytresował sokoły? Dlaczego nie jestem przypuszczony do rady? będę na niej przemawiał tak dobrze, jak wszystkie twoje stare głowy w kryzach. Mam pomysły nowe i ramię lepsze do służenia ci, panie! To twój kardynał przeszkodził ci powołać mnie do niej i dlatego, że cię oddał odemnie, ja go nienawidzę! — ciągnął Cinq-Mars, pokazując pięści, jakby Richelieu stał przed nim. — Tak, zabiłbym go swoją ręką, gdyby tego było potrzeba!

D'Effiat miał oczy zaczerwienione od gniewu, mówiąc tupał nogą i odwrócił się tyłem do króla, jak zadąsane dziecko, opierając się o jedną z kolumnek latarni.

Ludwik, cofający się przed wszelkiem postanowieniem i którego rzecz nie do naprawienia przestraszała zawsze, wziął go za rękę.

O, słabości władzy! zachcianko serca ludzkiego! przez te właśnie dziecinne dąsy, przez te wady wieku, ten młodzieniec rządził królem Francji na równi z pierwszym politykiem owego czasu. Temu panującemu zdawało się i nie bez pewnej słuszności, że

charakter tak gwałtowny powinien być szczery i jego dąsy nawet go nie gniewały. Nie odnosiły się one zresztą do tych prawdziwych wymówek i przebaczał mu nienawiść do kardynała. Samo pojęcie zazdrości jego ulubieńca przeciwko ministrowi podobało mu się, świadczyło bowiem o przywiązaniu, on zaś obawiał się tylko jego obojętności.

Cinq-Mars wiedział o tem i chciał ratować się tą drogą, przygotowując w ten sposób króla do uważania wszystkiego, co zrobił, za dziecinną igraszkę, za następstwo swojej dla niego przyjaźni, ale niebezpieczeństwo nie było tak wielkie, odetchnął, gdy monarcha rzekł do niego:

— Nie chodzi wcale o kardynała i nie lubię go więcej, aniżeli ty, lecz wyrzucam ci gorszące twoje postępowanie i będzie mi bardzo trudno przebaczyć je waćpanu. Jakto, dowiaduję, że zamiast oddawać się pobożnym ćwiczeniom, do których cię przyzwyczaiłem, gdy myślę, że odmawiasz „Modlitwy wieczorne” albo „Zdrowaśki,” ty jedziesz z Saint-Germain i przepędzasz część nocy... u kogo? Czyż ośmielę się powiedzieć bez grzechu! u kobiety osławionej, która może z tobą mieć stosunki tylko zgubne dla twojej duszy i która przyjmuje u siebie niedowiarków, słowem, u Marion Delorme! Cóż odpowiesz? Mów!

Zostawiając swoją rękę w dłoni króla, ale ciągle oparty o kolumnadę, Cinq-Mars odparł:

— Jakże to takim występkiem porzucić zajęcia ważne dla innych jeszcze ważniejszych? Jeśli bywam u Marion Delorme to dlatego, aby słyszeć rozmowy zbierających się tam uczonych. Niema nic niewinniejszego nad te zebrania; urządzają tam odczyty, przedłużające się nieraz w nocy, to prawda, lecz mogące tylko podnieść duszę, bardzo dalekie od tego, aby ją zepsuć. Zresztą, nie rozkazałeś mi, panie, ni-

gdy zdawać sobie sprawy ze wszystkiego; oddawna powiedziałbym ci o tem, gdybyś tego chciał.

— Ach, Cinq-Mars, Cinq-Mars, gdzież zaufanie! Czyż nie odczuwasz jego potrzeby? To pierwszy warunek przyjaźni doskonałej, jaką powinna być nasza, jakiej potrzebuje moje serce.

Głos Ludwika był czulszy i ulubieniec, patrząc na niego przez ramię, zrobił minę mniej zagniewaną, i tylko znudzoną i zrezygnowaną do słuchania.

— Ileż razy mnie oszukałeś! — ciągnął król. — Czyż mogę ci zaufać? czyż nie widzujesz modnisiów i gachów u tej kobiety? czyż niema tam innych załotnic!

— Eh, mój Boże, nie, najjaśniejszy panie! Bywam tam często z jednym z moich przyjaciół, szlachcicem z Turenii, nazywającym się Bené Descartes ¹⁾.

— Descartes! Znam to nazwisko, tak, jest to oficer, który się odznaczył przy oblężeniu Roszelli i bawi się pisaniem, słynie on z pobożności, ale przyjaźni się z Des Barreaux, niedowiakiem. Jestem pewny, że znajdziesz tam wielu, co nie będą wcale odpowiedniemi dla ciebie towarzystwem, wielu młodzieńców bez rodziny, bez nazwiska. Zobaczmy, powiedz mi najsamprzód, kogoż tam widziałeś ostatnim razem?

— Mój Boże, zaledwie pamiętam ich nazwiska! — odparł Cinq-Mars, szukając oczyma w powietrzu. — Czasami nie pytam się o nie... Był pewien jegomość, imci pan Groot, czy Grotius, Holender.

— Wiem, przyjaciel Barneveltda. Płacę mu pensję. Lubiłem go dosyć, ale kard... ale powiedziano mi, że jest zapalonym wyznawcą...

— Widziałem także jednego Anglika, nazywającego się John Milton, jest to młodzieniec, przybyły

¹⁾ Kartezyusz.

z Włoch, w powrocie do Londynu: nie mówi prawie wcale.

— Nieznany, zupełnie nieznany, lecz jestem pewny, że to znów jakiś wyznawca. A cóż tam byli za Francuzi?

— Ten młodzieniec, co napisał „Cynna,” a którego nie przyjęto trzy razy do Prześwietnej Akademii; był zagniewany, że Du Ryer dostał się tam zamiast niego. Nazywa się Corneille...

— A więc — rzekł król, składając na krzyż ręce i patrząc na niego z wyrazem tryumfu i wymówki — zapytuję cię, co to są za ludzie? Czyż w podobnym kole należałoby widzieć ciebie?

Cinq-Mars osłupiał wobec tej uwagi, na której cierpiała jego miłość własna i rzekł, zbliżając się do króla:

— Masz zupełną słuszność, najjaśniejszy panie, lecz aby spędzić jedną godzinę lub dwie na słuchaniu dosyć dobrych rzeczy, to nie może być szkodliwym, zresztą, bywają tam dworzanie tacy, jak książę de Bouillon, imci pan d'Aubijoux, hrabia de Brion, kardynał de La Valette, panowie de Montrésor, Fontailles, oraz znakomitości naukowe, jak Mairet, Colletet, Desmarets, twórca „Aryany,” Furet, Doujat, Charpentier, który napisał piękną „Cyropedyę,” Giry, Bessons i Baro, kontynuator „Astrei,” wszystko akademicy.

— Ach, przynajmniej, oto ludzie prawdziwej zasługi! — odparł Ludwik. — Na to niema nic do powiedzenia, tu można tylko zyskać. To są wyrobione sławy, to są powagi. No, pojednajmy się, daj rękę, zgoda, moje dziecko! Pozwolę ci tam iść niekiedy, ale mnie już nie oszukuj. Widzisz, że wiem o wszystkim. Patrz!

Przy tych słowach król wyciągnął z żelaznej szkatułki, umieszczonej przy murze, ogromne zeszyty, zagryzłone bardzo drobnym piśmem. Na jednym

było napisane Baradas, na drugim d'Hautefort, na trzecim La Fayette i na koniec Cinq-Mars. Zatrzymał się przy tym i mówił dalej:

— Patrz, ile razy mnie oszukałeś! To są błędy nieustanne, które sobie wszystkie sam zapisywałem od dwóch lat, to jest, odkąd cię znam; zapisywałem dzień po dniu wszystkie nasze rozmowy. Siadaj.

Cinq-Mars usiadł, wdychając i słuchał cierpliwie przez dwie długie godziny wyciągu z tego, co jego pan spisywał cierpliwie przez dwa lata. Przykładał wielokrotnie rękę do ust podczas czytania, co uczynilibyśmy z pewnością wszyscy, gdyby trzeba było przytoczyć te rozmowy, znalezione w największym porządku po śmierci króla, obok jego ostatniej woli. Powiemy tylko, że skończył w ten sposób:

— Nakoniec, oto co zrobiłeś 7-go grudnia, przed trzema dniami mówiłem ci o kradzieży kobusa i o wiadomościach łowieckich, których ci brak, mówiłem ci, według „Łowów królewskich,” dzieła króla Karola IX, że gdy myśliwy łoży swego psa do ścigania zwierza, musi pamiętać, że pies ma chęć powrócić do lasu i że nie trzeba ani go łajać, ani bić, aby szedł dobrze na smyczy; i że, aby nauczyć psa rzucać się dobrze na zwierzę, nie trzeba pozwalać mu przechodzić ani pomykać manowcami, ani żadnymi ścieżkami, nie zbadawszy ich wprzód.

— Oto co mi odpowiedziałeś — i żartobliwie rzekł — zauważ to dobrze: „Dalibóg, najjaśniejszy panie, daj mi raczej pułki do prowadzenia, aniżeli psy i ptaki. Jestem pewny, że dworowanoby sobie z ciebie i ze mnie, gdyby wiedziano, czem się zajmujemy.” A 8... czekaj, tak, 8, kiedy śpiewaliśmy razem nieszpory w mojej komnacie, rzuciłeś gniewnie swoją książkę w ogień, co było bezbożnością, a następnie powiedziałeś mi, że ją upuściłeś. Grzech, grzech śmiertelny, patrz, napisałem u dołu: „kłamstwo,” pod-

kreślone. Mnie się nie oszuka nigdy, wszak ci mówiłem.

— Ależ, najjaśniejszy panie...

— Chwileczkę, chwileczkę. Wieczorem powiedziałeś mi o kardynale, że kazał spalić jednego człowieka niesprawiedliwie i przez zemstę osobistą.

— I powtarzam to, i utrzymuję, i dowiodę tego, najjaśniejszy panie, to największa zbrodnia tego człowieka, którego wahaś się od siebie usunąć, a który czyni cię nieszczęśliwym. Wszystko widziałem, wszystko słyszałem sam w Loudunie. Urban Grandier został raczej zamordowany, niż osądzony. Masz, najjaśniejszy panie, ponieważ trzymasz te pamiętniki w ręku, odczytaj wszystkie dowody, jakie ci dałem wówczas o tem.

Ludwik, odszukawszy wskazaną stronicę i cofnąwszy się do podróży z Perpignanu do Paryża, przeczytał ten opis z uwagą, wołając:

— Co za okropności! jakże mogłem zapomnieć o tem wszystkim? Ten człowiek mnie zaślepia, to pewna. Ty jesteś prawdziwym moim przyjacielem, Cinq-Mars! Co za okropności! To będzie plamą mego panowania! Przejął wszystkie listy szlachty i wszystkich znakomitych obywateli kraju, pisane do mnie! Spalić, spalić żywcem! bez dowodów! przez zemstę! Tam człowiek, tam lud wzywał mego imienia daremnie, tam rodzina przeklina mnie teraz! Ach, jakże królowie są nieszczęśliwi!

Przy tych słowach monarcha rzucił swoje papiery i płakał.

— Ach, najjaśniejszy panie, jakże piękne są łązy, które przelewasz!—zawołał Cinq-Mars ze szczerem uwielbieniem. — Czemuż niema tu ze mną całej Francji! zdziwiłaby się na ten widok i byłoby jej trudno w niego uwierzyć.

— Zdziwiłaby się! Więc mnie Francja nie zna?

— Nie, najjaśniejszy panie! — rzekł d'Effiat

otwarcie, nikt cię nie zna i ja sam oskarżam ciebie często o oziębłość i ogólną obojętność dla wszystkich.

— O oziębłość! gdy umieram ze zgryzoty; o oziębłość, gdy poświęcam się na ofiarę ich sprawom! Niewdzięczny naród! Poświęciłem mu wszystko aż do dumy, aż do szczęścia prowadzenia go przez siebie samego, gdyż obawiałem się dla niego o swoje chwijne życie; dałem swoje berło do noszenia człowiekowi, którego nienawidzę, bo sądziłem, że jego ręka silniejsza od mojej; zniósłem krzywdę, jaką wyrządził mnie samemu, myśląc, że robi dobrze moim ludom; połykałem swoje łzy, aby ich łzy osuszyć i widzę, że moje poświęcenie było nawet większe, niż sądziłem, gdyż oni go nie spostrzegli. Uważali mnie za niezdolnego dlatego, że byłem nieśmiały, i za bezsilnego dlatego, że nie ufałem swoim, ale mniejsza z tem, Bóg mnie zna i widzi.

— Ach, najjaśniejszy panie, pokaż się Fracyi takim, jakim jesteś, odbierz swoją władzę przywłaśczoną. Francja robi przez miłość dla ciebie to, czego bojaźń jej nie wydała. Wróć do życia i odzyskaj tron.

— Nie, nie, moje życie się kończy, drogi przyjacielu! Nie jestem już zdolny do trudów panowania.

— Ach, najjaśniejszy panie, to przekonanie samo odbiera ci twoje siły. Czas wreszcie, aby przestano mieszać władzę ze zbrodnią i nazywać ich związek geniuszem. Podnieś swój głos, aby oznajmić ziemi, że panowanie cnoty zacznie się z twojem panowaniem; odtąd zaś ci wrogowie, których występki z taką trudnością zmusza do postuszeństwa, upadną na jedno słowo, pochodzące z twojego serca. Nie obliczono jeszcze wszystkiego, co dobra wiara króla Francji może uczynić z jego ludu, którego wyobraźnia i zapał pociągają tak szybko do wszystkiego, co

piękne i którego wszelkie rodzaje poświęcenia znajdują gotowym. Król, twój ojciec, prowadził nas uśmiechem; czegoż nie zrobiłaby jedna z twoich łez; chodzi tylko, abyś mówił do nas.

Podczas tej rozmowy, król, zdziwiony, rumienił się często, kaszlał i okazywał wielkie zakłopotanie, jak za każdym razem, gdy chciano wydobyć od niego postanowienie; czuł także nadejście rozmowy zbyt wysokiego stopnia, w której nieśmiałość jego umysłu nie pozwalała mu się narażać; i kładąc często rękę na piersi, marszcząc brew, jakby odczuwał ból dotkliwy, próbował się cofnąć pod osłoną choroby od przymusowej odpowiedzi; ale, czy to uśmieszenie, czy to postanowienie zadania ostatniego ciosu, sprawiło, że Cinq-Mars ciągnął dalej bez zmieszania, z uroczystością, imponującą Ludwikowi. Król, sforsowany w ostatnich swoich szanach, rzekł do niego:

— Lecz, Henryku, jak się pozbyć ministra, który od lat osiemnastu otoczył mnie swojemi kreaturami?

— Nie jest on tak potężny — odparł wielki koniuszy — a jego przyjaciele staną się jego najokrutniejszymi przeciwnikami na jedno skinienie twojej głowy. Cała dawna liga książąt pokoju jeszcze istnieje, Najjaśniejszy Panie, i tylko szacunek winny wyborowi Waszej Królewskiej Mości, wstrzymuje ją od wybuchu.

— Ah! dobry Boże! możesz im powiedzieć, aby nie wstrzymywali się dla mnie; ja im nie przeszkadzam, mnie chyba nie oskarżą, że jestem kardynałistą. Jeśli mój brat zechce mi dać sposób zastąpienia Richelieugo, uczynię to z całego mego serca.

— Sądzę, Najjaśniejszy Panie, że będzie ci dziś mówił o księciu panu de Bouillon; wszyscy rojaliści proszą o niego.

— Nie nienawidzę go bynajmniej — rzekł król, układając poduszkę swego fotelu — nie nienawidzę go

wcale, choć nieco buntowniczy. Jesteśmy krewni, czy wiesz, drogi przyjacielu (a wypowiedział to ulubione zdanie z większym, niż zwykle, wdziękiem), czy wiesz, że on pochodzi od świętego Ludwika z ojca na syna, przez Karolinę de Bourbon, córkę księcia de Montpensier? Czy wiesz, że siedem księżniczek krwi weszło do jego domu i że osiem księżniczek z jego domu, z których jedna była królową, poślubiło książąt krwi? Oh! nie nienawidzę go bynajmniej; nie powiedziałem tego nigdy.

— A więc, Najjaśniejszy Panie — rzekł Cinq-Mars z ufnością — brat królewski i on wytlómaczą ci podczas łowów, jak wszystko zostało przygotowane, jakich ludzi będzie można wyznaczyć zamiast jego kreatur, i na jakich dowódców i pułkowników można liczyć przeciwko Fabert'owi i wszystkim kardynałistom z Perpignan. Zobaczysz, że minister ma bardzo mało sobie oddanych. Królowa, brat królewski, szlachta i parlamenty są po naszej stronie; a to rzecz dokonana, odkąd Wasza Królewska Mość już się nie opiera. Zamierzono usunąć Richelieugo, jak marszałka d'Ancre, co na to mniej, niż on, zasługiwał.

— Jak Conciniego! — zawołał król. — Oh! nie, nie trzeba... nie chcę tego, zaprawdę... On jest kapłanem i kardynałem, zostalibyśmy wyklęci z Kościoła. Lecz jeśli jest inny sposób, i owszem; możesz o tem pomówić ze swymi przyjaciółmi, ja pomyślę o tem ze swej strony.

To powiedziawszy, Ludwik oddał się swojemu uczuciu, jakby dopiero co je zadowolnił i jakby cios już został wymierzony. Cinq-Marsowi zrobiło się przykro, gdyż obawiał się, aby jego gniew, rozchodząc się w ten sposób, nie trwał zbyt długo. Jednak uwierzył ostatnim jego słowom, zwłaszcza, gdy po nieskończonych skargach Ludwik dodał:

— W końcu, czy uwierzyłbyś, że od dwóch lat, jak oplakuję swoją matkę, od owego dnia, kiedy

mnie oszukał tak okrutnie wobec całego mego dworu, prosząc mnie o jej przywołanie, gdy wiedział o jej śmierci, od owego dnia, nie mogę otrzymać, aby ją kazano pochować we Francji z moimi przodkami? Wywołał z kraju nawet jej popioły!

W tej chwili zdawało się Cinq-Marsowi, że słyszy jakiś szmer na schodach; król zarumienił się nieco.

— Odejdź—powiedział—idź prędko przygotować się do łowów, będziesz jechał konno przy mojej karoocy; idź prędko, ja tak chcę, idź.

I popchnął sam Cinq-Marsa ku schodom i wejściu, które go wprowadziło.

Ulubieniec wyszedł; ale zmieszanie jego pana nie uszło jego uwagi.

Schodził wolno i szukał przyczyny w sobie samym, gdy zdawało mu się, że słyszy odgłos czyichś kroków i że ktoś wchodzi drugą częścią schodów, kręconych około jednej podstawy, gdy on schodził pierwszą; zatrzymał się, i tam się zatrzymano; wszedł na górę, zdawało mu się, że schodzono; wiedział, że nie można nic widzieć między ażurami architektury, i postanowił wyjść, zniecierpliwiony tą grą, lecz bardzo zaniepokojony. Chciał się zatrzymać przy drzwiach wejściowych, aby widzieć, kto się zjawi. Ale zaledwie podniósł kotarę, zasłaniającą salę gwardyi, otoczył go tłum dworzan, i zmusił do oddalenia się dla wydania rozkazów swego urzędu lub do przyjmowania hołdów, zwierzeń, powinszowań, przedstawień, poleceń, uściśków, i tego potoku stopniowanych stosunków, co otaczają ulubieńca i dla których potrzeba uwagi przytomnej i nieustannej, gdyż roztargnienie może spowodować wielkie nieszczęścia.

Zapomniał tedy prawie o tej małej okoliczności, będącej może tylko dziełem wyobraźni, i oddając się przyjemnościom tego w swoim rodzaju ciągłego ubóstwiania, dosiadł konia na wielkim dziedzińcu, mając

szlachetnych paziów na swe usługi i otoczony najświetniejszą szlachtą.

Wkrótce brat królewski przybył na czele swoich, a nie upłynęła godzina, gdy zjawił się król, bladej, cierpiący i wsparty na czterech dworzanach. Cinq-Mars, zsiadłszy z konia, pomógł mu wsiąść do małego pojazdu, bardzo niskiego, jaki nazywano taczkami¹⁾, a którego końmi, bardzo łagodnymi i bardzo spokojnymi, kierował sam Ludwik XIII. Dojeżdżając piesi, przy drzewczkach, trzymali psy na smyczy; na odgłos rogu setki młodzieńców wsiadło na koni i wszystko pojechało na miejsce umówione dla łowów.

Król nazначzył je na folwarku zwanym l'Ormage²⁾, i cały dwór, przywykły do jego zwyczajów, rozszedł się po alejach parku, gdy tymczasem król jechał odosobnioną ścieżką, mając przy swoich drzewczkach wielkiego koniuszego i cztery osoby, którym dał znak, aby się zbliżyły.

Widok tej przejażdżki dla przyjemności był złowrogi: nadejście zimy straciło prawie wszystkie liście wielkich dębów parku, i czarne gałęzie odbijały się na szarem niebie, jak ramiona świeczników pogrzebowych; lekka mgła zdawała się zapowiadać blizki deszcz; poprzez oświetlony las i smutne gałęzie widać było ciągnące powoli ciężkie karoce dworskie, wypełnione kobietami, ubranymi czarno i jednostajnie³⁾, i skazanymi na oczekiwanie wyniku łowów, których nie widziały; psów gończych było słyhać oddalone granie i róg myśliwski odzywał się czasami jak westchnienie; zimny i szczypiący wiatr zmuszał każdego do okrycia się; a niektóre kobiety, włoży-

¹⁾ *Brouette*—taczki, rodzaj lektyki.

²⁾ Od słowa *l'orme*—wiąz, drzewo.

³⁾ Edykt 1639 r. postanowił o stroju dworskim. Był on skromny i czarny.

wszy na twarz welon lub maskę z czarnego aksamitu, aby się zasłonić od wiatru, którego nie mogły zatrzymać firanki ich pojazdów bez szyb, zdawały się nosić strój, jaki nazywano dominem. Wszystko było omdlewające i smutne. Tylko kilka zastępów młodzieży, uniesionej polowaniem, przebiegało jak wiatr wylot jednej alei, wznosząc okrzyki lub grając na rogu; poczem wszystko zapadło w milczenie, jak niebo po racy ogni sztucznych, w jeszcze większą ciemność.

Na ścieżce równoległej z tą, którą król wolno jechał, zebrało się kilku dworzan, owiniętych w płaszcze. Zdając się bardzo mało zajmować sarną, postępowali konno równoległe z taczkami króla i nie tracili ich z oczu.

Mówili półgłosem.

— To dobrze, Fontrailles, to dobrze; zwycięstwo! Król bierze go co chwila za ramię. Czy widzisz, jak się doń uśmiecha? Oto imćpan le Grand zsiada z konia i zajmuje miejsce obok niego. No, no, stary szpak tym razem zgubiony!

— Ah! to jeszcze nie! Czy nie widziałeś, jak król podał rękę swemu bratu? Dał ci znak, Montrésor; Gondi, patrz.

— Eh! patrz! to łatwo powiedzieć; lecz ja tego nie widzę swojemi oczyma; mam tylko oczy wiary i wasze. A więc, cóż oni robią? Dałbym wiele, aby nie mieć tak krótkiego wzroku. Opowiedzcież mi, co oni robią?

Montrésor odparł:

— Teraz król nachyla się do ucha księcia de Bouillon i mówi do niego... Mówi jeszcze, macha rękoma, nie przestaje. Oh! zostanie ministrem.

— Będzie ministrem—rzekł Fontrailles.

— Będzie ministrem — powtórzył hrabia du Lude.

— Ah! to niewątpliwe—odparł Montrésor.

— Mam nadzieję, że ten da mi pułk i że ożeni się z moją kuzynką! — zawołał Olivier d'Entragues tonem pazia.

Książ de Gondi, śmiejąc się szydlerczo i patrząc w niebo, zaczął śpiewać pieśń łowiecką:

Każdy szpak węż dobry ma,
La la, la la, la, la la!

— ...Zdaje mi się, mościpanowie, że widzicie gorzej odemnie, albo stał się cud w roku Pańskim 1642, gdyż imćpan de Bouillon nie ma więcej danych, aby zostać pierwszym ministrem, niż ja, chociażby go król uściskał. Ma on wielkie zalety, lecz nie dojdzie do niczego, gdyż jest jednostronny; jednak cenię to wielce ze względu na jego rozległe i głupie miasto Sedan; jest to siedlisko dobre dla nas.

Montrésor i inni zbyt wiele zwracali uwagi na każde poruszenie monarchy, aby odpowiedzieć, i ciągnęli dalej:

— Teraz imćpan le Grand bierze lejce i kieruje końmi.

Książ zaśpiewał na tę samą nutę:

Lecz nie wywróc, pocztylionie,
Gdy prowadzisz moje konie,
La la, la la, la la la!

— Ah! księżu, twoje piosenki doprowadzą mnie do wściekłości!—zawołał Fontrailles—masz więc arye na wszelkie wypadki życia?

— Dostarczę wam także wypadków, nadających się na wszelkie arye—odparł Gondi.

— Dalibóg, ta piosenka podoba mi się—odrzekł Fontrailles ciszej;—brat królewski nie każe mi przynajmniej nieść przekłętą swego traktatu do Madrytu, i nie gniewam się wcale o to; jest to zlecenie dość niebezpieczne; Pireneje nie są tak łatwe do

przebycia, jak mu się zdaje, a kardynał pilnuje gościńca.

— Ah! ah! ah!—zawołał Montrésor.

— Ah! ah!—powiedział Olivier.

— Cóż tam takiego? ah! ah!—rzekł Gondi—cożście tam zobaczyli tak pięknego?

— Dalibóg, na ten raz król podał rękę swemu bratu; chwała Bogu, mości panowie! Pozbyliśmy się kardynała: stary dzik został osaczony. Kto się podejmie wyprawić go na tamten świat? Trzeba wrzucić go do morza.

— To za wielki dla niego zaszczyt—odparł Olivier—trzeba oddać go pod sąd.

— Bezwątpienia — powiedział ksiądz — cóż znowu! nie brak nam sędziów-oskarżycieli przeciwko zuchwalcowi, co się ośmielił odprawić pazia; nieprawdaż?

Poczem, wstrzymując swego konia i pozwalając przejść Olivierowi i Montrésorowi, przechylił się w stronę incipana de Lude, rozmawiającego z dwiema osobami poważniejszymi, i rzekł:

— Prawdę mówiąc, mam ochotę przypuścić swego kamerdynera także do tajemnicy; nie widziano nigdy, aby spisek był traktowany tak lekkomyślnie. Wielkie zamachy wymagają tajemnicy; ta byłaby godna podziwu, gdyby się o nią postarano. Nasze stronictwo jest piękniejsze, niż którekolwiek, o jakim czytałem w dziejach; byłoby czem obalić trzy królestwa, gdyby chciano, lecz nierozważne postęпки zepsują wszystko. Doprawdy, szkoda; będę miał przez to żal śmiertelny. Z upodobania jestem skłonny do spraw tego rodzaju i przywiązałem się serdecznie do naszej, mającej wielkie znaczenie; doprawdy, nie można temu zaprzeczyć. Nieprawdaż, d'Ambijoux? nieprawdaż, Montmort?

W czasie tych rozmów kilkanaście wielkich i ciężkich karoc, zaprzężonych w sześć i w cztery ko-

nie, postępowało tą samą aleją o dwieście kroków od tych ichmościów; franki były podniesione z lewej strony dla widzenia króla. W pierwszej jechała królowa: siedziała sama w głębi, ubrana czarno i zasłonięta welonem. Na przodzie siedziała marszałkowa d'Effiat, u stóp zaś królowej księżniczka Marya. Siedząc z boku, na taburecie, miała suknię zwieszoną po za powóz i opierała nogi na złotym stopniu, gdyż nie było wcale drzewiczek, jakieśmy to już powiedzieli; dlatego też starała się widzieć poprzez drzewa każdy ruch króla, i przechylała się często, niepokojona nieustannym przejazdem koni księcia wojewody i jego orszaku.

Ten książę północny był przysłany przez króla polskiego dla prowadzenia wielkich układów pozornie, lecz naprawdę dla przygotowania księżniczki Mantuańskiej do zaślubienia starego króla Władysława IV, i rozwijał na francuskim dworze cały przepych swego dworu, nazywanego wówczas barbarzyńskim i sarmackim w Paryżu, i usprawiedliwiał te przezwiska dziwnymi, wschodnimi strojami. Wojewoda poznański był nadzwyczaj piękny i nosił, również jak jego orszak, długą, gęstą brodę, głowę goloną po turecku, i okrytą czapką futrzaną, kaftan krótki i wysadzany dyamentami i rubinami; koń jego był malowany na czerwono i ozdobiony piórami. Miał on w swym orszaku oddział polskiej gwardyi w czerwonych i złotych strojach, i w wielkich oponczach z długimi rękawami, wiszącymi niedbale na ramionach.

Magnaci polscy, którzy mu towarzyszyli, ubrani byli w jedwabne materye, tkane złotem i srebrem, a z tyłu ich głów ogolonych powiewał jeden kosmyk włosów, nadający im wygląd azyatycki i tatarski, również nieznanymi na dworze Ludwika XIII, jak moskiewski. Kobietom wydawało się to wszystko nieco dzikiem i dość przerażającym.

Marya Gonzaga otrzymywała aż do uprzykrze-

nia głębokie ukłony i wschodnie hołdy od tego cudzoziemca, oraz jego orszaku. Za każdym razem, gdy przejeżdżał koło niej, czuł się w obowiązku powiedzieć jej kilka grzecznych słówek nawpół francuskich, do których mieszał niezgrabnie nadzieję i godność królewską. Nie miała więc innego sposobu, aby się od nich uwolnić, jak zatkać sobie wielokrotnie nos chustką, mówiąc dosyć głośno do królowej:

— Doprawdy, pani, od tych panów zalata jakaś woń, że aż mdło robi się na sercu.

— Trzeba będzie dobrze wzmocnić twoje serce, jednakże przyzwyczaisz się do nich — odparła Anna austriacka trochę sucho.

Potem nagle, bojąc się, że ją zmartwiła, ciągnęła dalej wesoło:

— Przywykniesz, jak my, do tego, a wiesz, że co się tycze zapachów, jestem nadzwyczaj niewyrozmiała. Imci pan Mazarin powiedział mi pewnego dnia, że za karę w czyścju będę oddychała smrodami i sypiała na prześcieradłach z holenderskiego płótna.

Mimo kilku krotofilnych słówek, królowa była przecież nader poważna i zapadła znów w milczenie. Zagłębiwszy się w karocy, owinięta płaszczykiem, i nie zwracając pozornie żadnej uwagi na wszystko, co się dokoła niej działo, dała się unosić kołysaniu powozu.

Marya, zajęta tylko królem, rozmawiała półgłosem z marszałkową d'Effiat; obie usiłowały pokrzepić się nadziejami, jakich nie miały i oszukiwały się dla przyjaźni.

— Pani, winszuję ci, imci pan le Grand siedzi przy królu; nie posunięto się nigdy tak daleko — mówiła Marya.

Potem długo milczała, a powóz toczył się smutnie po zwiniętych i zeschniętych liściach.

— Tak, widzę to z wielką radością; król jest tak dobry — odparła marszałkowa.

I westchnęła głęboko.

Nastąpiło znów długie i ponure milczenie. Obie spojrzały na siebie i znalazły wzajemnie swoje oczy we łzach. Nie śmiały już rozmawiać i Marya, schyliwszy głowę, widziała tylko szarą i wilgotną ziemię, co uciekała pod kołami. Smutne marzenie ogarnęło jej duszę i chociaż miała przed oczyma widok pierwszego dworu Europy u stóp tego, którego kochała, wszystko ją przerażało, a czarne przeczucia niepokoiły mimowolnie.

Nagle koń przeleciał koło niej, jak wiatr. Podniosła oczy i zdażyła dostrzedz twarz Cinq-Marsa. Nie patrzył na nią, był blady, jak trup, a jego oczy, ukryte pod zmarszczonymi brwiami i w cieniu nasuniętego kapelusza. Ścięła go wzrokiem cała drżąca; zobaczyła, jak zatrzymał się pośród grona jeźdźców, poprzedzających powozy, którzy go powitali, odsłaniając głowy. Po chwili zagłębił się z jednym z nich w zarośla. Patrzył na nią zdaleka i ścięła oczyma, dopóki powóz nie przejechał; potem zdawało się jej, że wręczył temu człowiekowi zwój papierów i znikł w lesie. Opadająca mgła nie pozwoliła widzieć go dalej. Była to jedna z tych mgieł, tak częstych nad brzegami Loary. Słońce ukazało się najprzód, jak mały krwawy księżyc, owinięty w rozdarty całun i schowało się w pół godziny za welonem tak gęstym, że Marya ledwie mogła dojrzeć pierwsze konie karocy, a przechodzący o kilka kroków od niej ludzie wydawali się szarawymi cieniami. Ta zamrożona para przemieniła się w tęgi deszcz, a jednocześnie w obłok, wydający woń smrodliwą.

Królowa kazała usiąść pięknej księżniczce obok siebie i postanowiła wrócić do domu. Skierowano się w stronę Chambordu w milczeniu i stępa. Wkrótce

dały się słyszeć rogi, grające na odwrót i zwołujące rozproszoną psiarnię. Myśliwi przejeżdżali szybko koło powozu, szukając w mgłę drogi i nawołując się głośno. Myrya widziała często tylko łeb konia lub niewyraźny kształt ludzki, wychylający się z mgły lasu i daremnie usiłowała odróżnić jakieś słowa. Jednakże serce jej bito. Wołano imci pana de Cinq-Marsa:

— Król wzywa imci pana le Grand!—powtarzano.—Dokąd mógł pójść imci pan wielki koniuszy?

Jakiś głos odezwał się koło niej w przejściu:

— Zginał przed chwilą

Na te słowa tak proste zadrżała, gdyż strapiiony jej umysł nadawał im straszliwe znaczenie. Ta myśl ścigała ją aż do zamku i do jej komnat, do których pobiegła się zamknąć. Wkrótce usłyszała hałas, towarzyszący powrotowi króla i brata królewskiego z kniei, później w lesie kilka wystrzałów z fuzyi, choć nie mogła widzieć jej ognia. Napróżno patrzyła przez wąskie okna; zdawały się zaciągnięte z dworu białem płótnem, zasłaniającem światłoienne.

Tymczasem na końcu lasu, koło Montfrault, zabląkało się dwóch jeźdźców; zmęczeni szukaniem drogi do zamku pośród tysiąca drzew i krzyżujących się ścieżek, chcieli właśnie zatrzymać się przy stawie, gdy ośmiu, czy dziesięciu ludzi, wychodząc z zarośli, rzuciło się na nich, i nim zdążyli chwycić za broń, uwiesiło u ich nóg, ramion i przy uszach ich koni tak, aby ich unieruchomić. Jednocześnie chrapowaty głos, wychodzący z mgły, zawołał:

— Czy jesteście rojalistami, czy kardynalistami? Wołajcie: „Niech żyje le Grand!” albo śmierć wam!

— Podłe łajdaki! — odparł pierwszy jeździec, usiłując otworzyć olstra swoich pistoletów—każę was powiesić za nadużycie mego imienia!

— Dios el Señor!—zawołał ten sam głos.

Natychmiast wszyscy ci ludzie puścili swoją zdo-

bycz i uciekli do lasu. Wybuch dzikiego śmiechu rozległ się wtedy i jakiś człowiek zbliżył się do Cinq-Marsa.

— Amigo, czy mnie nie poznajesz? To żart Jakóba, kapitana hiszpańskiego.

Fontrailles podeszedł i rzekł cicho do wielkiego koniuszego:

— To chłop tęgi i śmiały; radzę waćpanu go użyć, nie trzeba niczego zaniedbać.

— Słuchaj mnie—powiedział Jakób de Laubardemont—mówmy prędko. Nie lubię bawić się frazesami, jak mój ojciec. Pamiętam, że oddałeś mi kiłka przysług i niedawno jeszcze byłeś mi użyteczny, jak zawsze, nie wiedząc o tem; poprawiłem trochę swój stan majątkowy dzięki twoim małym rozruchom. Jeśli chcesz, mogę ci oddać znaczną usługę; dowodzę kilku walecznymi.

— Jaką usługę? — zapytał Cinq-Mars. — Zobaczymy.

— Zaczynam od ostrzeżenia. Dziś rano, gdy wychodziłeś od króla jedną stroną schodów, ojciec Józef wchodził tam drugą.

— O, Boże, oto więc tajemnica jego nagłej i niewytłómaczonej zmiany! Czy podobna? Król Francyi! i pozwolił nam zwierzyć mu się ze wszystkimi naszymi zamiarami!

— I coż, oto wszystko! nic mi nie odpowiadasz? Wiesz, że mam starą sprawę do załatwienia z kapucynem.

— Cóż mnie to obchodzi?

I pochylił głowę, zatopiony w głębokiem marzeniu.

— To obchodzi cię bardzo, gdyż, jeśli powiesz jedno słowo, uwolnię cię od niego w przeciągu trzydziestu sześciu godzin, chociaż musi on być teraz niedaleko Paryża. Moglibyśmy do tego dodać kardynała, gdyby chcieli.

— Zostaw mnie, nie chcę sztyletów! — zawołał Cinq-Mars.

— Ach, tak, rozumiem cię! — odparł Jakób. — Masz słuszość: wolisz, aby go wysłano na tamten świat uderzeniem szpady. Słusznie, wart tego, godność tego wymaga. Przystoi lepiej, aby się tego podjęli wielcy panowi i aby tym, co wysła na tamten świat, był kandydat na marszałka. Ja jestem bez pretensyi; nie trzeba mieć za wiele dumy, jakakolwiek położyłoby się zasługę w swoim zawodzie, nie powinienem dotykać kardynała, to jest kasek królewski.

— Ani innych! — rzekł wielki koniuszy.

— Ach, zostaw nam kapucyna! — odparł kapitan Jakób, nalegając.

— Jeśli odmówisz tej ofiary, uczynisz niesłusznie — powiedział Fontrailles. — Nie robi się ich codzień. Vitry zaczął od Concini'ego i zrobiono go marszałkiem. Widujemy ludzi bardzo przyzwoitych, co pozabijali swoich wrogów własną ręką na ulicach Paryża, a ty się wahasz uwolnić od nędznika! Richelieu ma swoich łajdaków, trzeba abyś ty miał swoich; nie pojmuję twoich skrupułów.

— Nie dręczcie go! — odezwał się Jakób porywczo. — Znam to, myślałem, jak on, będąc dzieckiem, zanim doszedłem do rozumu. Nie zabiłbym ani jednego mnicha; lecz ja z nim pomówię.

Poczem, zwracając się w stronę Cinq-Marsa, dodał:

— Słuchaj: gdy się spiskuje, to znaczy, że się pragnie śmierci, albo, co najmniej, zguby czyjejs. He? I urwał.

— Otoż, w takim razie jest się poróżnionym z Panem Bogiem, a w zgodzie z dyabłem... He! *Secundo*, jak mówią w Narbonne, wszystko jedno, gdy się jest potępionym, czy się nim zostało za wielkie grzechy, czy za małe... He? *Ergo*, jest rzeczą obo-

jętą zabić tysiąc, czy jednego. Oświadczam z góry, że nie potrafisz na to odpowiedzieć.

— Nie można lepiej odpowiedzieć, doktorze długiej szpady! — odparł Fontrailles, śmiejąc się napół — i widzę, że będziesz dobrym towarzyszem podróży. Wezmę cię z sobą do Hiszpanii, jeśli zechcesz.

— Wiem, że masz tam zawieźć traktat — odparł Jakób — i poprowadzę cię przez Pireneje nieznanymi ludzom drogami; nie mniej przecież będę miał śmiertelny żal, że nie skreślił karku przed odjazdem temu staremu kozłu i zostawił go w tyle, jak konika na szachownicy. Jeszcze raz, jasnie oświecony panie! — mówił dalej z wyrazem skruchy, zwracając się znów do Cinq-Marsa. — Jeśli wyznajesz religię, nie odmawiaj sobie tego i przypomnij sobie słowa naszych ojców teologów, Hurtado de Mendoza i Sancheza, którzy dowiedli, że można zabić potajemnie swego nieprzyjaciela, gdyż unika się tym sposobem dwóch grzechów: narażenia swego życia, oraz pojedynku. Właśnie podług tej zasady pocieszycielki zawsze postępowałem.

— Zostaw mnie, zostaw mnie! — powtórzył Cinq-Mars głosem przytłumionym wściekłością. — Myślę o czem innym.

— Na co szukać rzeczy ważniejszych? — rzekł Fontrailles. — Te może mieć wielką wagę na szalach naszych losów.

— Chcę wiedzieć, ile na nich waży serec króla! — odparł Cinq-Mars.

— Przerażasz mnie samego — odparł szlachcic. — Nie żądamy tak wiele.

— Nie mówię również tak wiele, jak waćpan sądzisz! — ciągnął d'Effiat surowym głosem. — Skarżą się, gdy poddany ich zdradzi; o tem właśnie myślę. A więc wojna, wojna! Wojny domowe, wojny zagraniczne, niech się spalą szalone wasze namiętności

Ja trzymam płomień, więc go do mnie przyłożę. Niech ginie państwo, niech ginie dwadzieścia królestw, gdy tak potrzeba. Nie powinno być klęsk politycznych, kiedy król zdradza poddanego. Posłuchaj mnie.

I uprowadził Fontrailles'a o kilka kroków.

— Poleciałem ci tylko zabezpieczyć nasz odwrót i nasze posiłki w razie opuszczenia ze strony króla. Przed chwilą przeczytałem to z powodu jego wymuszonych oświadczeń przyjaźni i postanowiłem cię wysłać, gdyż skończył swoją rozmowę przez oznajmienie nam o swym wyjeździe do Perpignanu. Obawiałem się Narbonne, widzę teraz, że się tam uda jako więźni kardynała. Jedź, jedź natychmiast. Dodaję do listów, które ci wręczyłem, ten oto traktat; jest on pod nazwiskami zmyślonymi, lecz oto akt zmieniający punkty aktu poprzedzającego; jest on podpisany przez brata królewskiego, przez księcia de Bouillon i przeze mnie. Hrabia książę d'Olivarès tego sobie tylko życzy. Oto jeszcze blankiety księcia Orleańskiego, które wypełnisz, jak będziesz chciał. Jedź, za miesiąc czekam na ciebie w Perpignan, i każe otworzyć Sedan siedemnastu tysiącom Hiszpanów z Flandryi.

Potem, podchodząc do czekającego na niego śmiałka, dodał:

— Tobie zaś, mój bracie, ponieważ chcesz być kapitanem, polecam towarzyszyć temu szlachcicowi aż do Madrytu. Będziesz za to hojnie wynagrodzony.

Jakób, podkręcając wąsa, odrzekł:

— Nie robisz złego wyboru, przeznaczając mnie do tego. Dajesz tem dowód taktu i dobrego smaku. Czy wiesz, że wielka królowa Krystyna szwedzka pytała się o mnie i chciała mnie wziąć do siebie w charakterze człowieka zaufanego? Została wychowana przy huku dział przez Lwa Północy, Gustawa Adolfa, swego ojca. Lubi zapach prochu, oraz ludzi odwa-

żnych, ale nie chciałem jej służyć, gdyż jest hugonotką, ja zaś mam pewne zasady, od których nie odstępuję. Tak więc naprzykład przysięgam ci tu na świętego Jakóba, że przeprowadzę tego jegomościa przez przystanie Pirenejów do Oloronu równie bezpiecznie, jak w tych lasach i że będę go bronił przeciwko dyabłu, gdy potrzeba, tak, jak twoich papierów, które ci przywieziemy napowrót bez jednej plamy, ani jednego przedarcia. Co się tycze nagrody, nie chcę jej wcale; znajduję ją zawsze w czynie samym. Zresztą, nie przyjmuję nigdy pieniędzy, gdyż jestem szlachcicem. Laubardemontowie, to ród bardzo dawny i bardzo zacny.

— Żegnaj więc, szlachetny człowieku — powiedział Cinq-Mars — w drogę!

Uściskawszy rękę Fontrailles'a, zapuścił się z jękiem w głąb lasu, aby wrócić do zamku Chambord.

KONIEC TOMU DRUGIEGO.



65180
66128